

DUNAJEC

NOWOSĄDECKI MAGAZYN ILUSTROWANY

Luty 1980

Cena 4 zł



Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Samochód bez kół, most bez filaru, świątynia bez wiernych — są niekompletne, zdefektowane, niedorobione. Ściśle mówiąc, ów brakujący szczegół czyni je bezużytecznymi. Oto dylemat nie lada: są? Istnieją? czy tylko pozorują egzystencję? Gdzie je zaklasyfikować?

Sytuacja się radykalnie zmienia, kiedy przy moście stanie ekipa remontowa. Kiedy odszukamy brakujące koła.

Sytuacja SIĘ zmienia? Sama?

Tym, co odróżnia człowieka od człowieka, jest postawa wobec braków i niedogodności życia. Widząc defekt lub niedoróbkę, można się poddać, bezradnie rozłożyć ręce, spasować. Ale można też postąpić odwrotnie: szukać wyjścia, zakasać rękawy, lać wyrwę.

Polaka jaka jest, każdy widzi. Obok rzeczy kompletnych — brakujące przesła.

Kim jesteś? Pasywnym rejestratorem niedostatków, czy aktywnym uczestnikiem zbiorowej krzątaniny, która na przekór przeciwnościom ulepsza rzeczywistość? Kibicem czy współtwórcą zdarzeń?

*

Człowiekiem aktywnym można być na wiele sposobów. W pojedynkę lub zbiorowo. Gwałtownie lub cierpliwie. W interesie tylko własnym, lub także wtedy, kiedy idzie o dobro innych.

CZEMU SŁUŻYMY?

Nie kryje, że doświadczenia historii i osobiste przemyslenia czynią najbliższą memu sercu aktywność zespoloną, rozważną, skierowaną ku dobru publicznemu.

Trzeba wszakże przypomnieć słowa Edwarda Gierka sprzed kilku tygodni: „Każdy kto wstępuje do Partii, bierze na siebie poważne obowiązki, musi się liczyć z tym, że życie nie będzie mu szczeniłem trosk i kłopotów, że potrzebna mu będzie wytrwałość, hart i odwaga, i że nie raz znajdzie się w sytuacji konfliktowej, gdy trzeba się będzie narazić w obronie słusznej sprawy”.

Mówi się jednym tehem: efektywność i demokracja. Mocne, precyzyjne słowa. Słowa jak drogowskazy. Szczegółowo wyjaśnione w Wytycznych, szeroko dyskutowane także w kontekście realiów naszego regionu.

A przecież nie tworzymy sobie iluzji, że najlepszy nawet drogowskaz wszystko załatwia. Między określeniem kierunku a dotarciem do celu — ogromne obszary, na których przyjdzie nam stoczyć wiele bojów i żaden z nich nie będzie ostatni.

Właśnie na tej drodze ku doskonaleniu efektywności gospodarki i demokratycznych mechanizmów życia społecznego w województwie nowosądeckim upatruję miejsce „Dunajca”. Poprzez dialog, budowanie społecznych więzi, wyjaśnianie głębokiego sensu naszych drogowskazów, a także poprzez odsłanianie wybojów i wyrw — w miarę swych sił i umiejętności próbujemy sprostować zadaniom, które przywódcą naszej Partii sformułował w Radoniu: „Nie wolno uciekać od złożonych spraw, od najtrudniejszej nawet prawdy. Tylko przez otwarte stawianie problemów można zmobilizować ludzi do współdziału w ich rozwiązywaniu”.

ADAM OGORZALEK

• OPINIE • PROPOZYCJE • POLEMIKI • OPINIE • PROPOZYCJE • POLEMIKI •

Bezdroża Bartnego

Wpadł mi w ręce przewodnik po Beskidzie Niskim, w którym czytam „Do Bartnego od przystanku PKS w Ropicy Górnej drogą jedną — ok. 2 godzin marszu”. Napisane z dużym poczuciem humoru. Ta droga w rzeczywistości prawie nie istnieje, pozostały nędzne jej szczątki. Praktycznie do Bartnego nie dojadą: karetka pogotowia, wóz strażacki, samochód osobowy z weterynarzem, nawet „nysa” z towarem do sklepu. Można ryzykować „gazikiem”, względnie ciężką, ciężarówką „skodą”. Wiś na złą drogę sprowadził transport leśny. I tutaj nastąpiło przedziwne rzeczy pomieszanie. Sprawa ruiny znany, ale chętnego do naprawienia drogi nie ma. Rejon Dróg Publicznych w Gorlicach dla całej gminy drogi buduje w tempie 1 km na rok. W ten sposób przy innej ważnej drodze Sekowa — Męcina Mała — Męcina Wielka — Wapienne robót nie skończą za 5 lat. Do Bartnego rzucono więc młodą, niedoświadczoną ekipę powołaną przy SKR. Idzie im bardzo nieporadnie. Spychacz ugrzązł w glinie, walec rdzewieje opodal, przy drodze nie ma żywej duszy. Perspektywy na rychłą poprawę — także.

KAZIMIERZ BRYNDZA
(„Gazeta Południowa”)

Poprawki

W woj. nowosądeckim postanowiono wybudować fabrykę domów na górzach II i III klasy w miejscowości Poddegrodzie, w widłach Dunajca i Popradu. Jest rzecz jasna, że zarówno fabryka, jak i nieuchronna przy niej eksploatacja kruszywa z doliny obu rzek, doprowadziłyby do szybkiego zniszczenia tamtejszej urodzajnej ziemi. Na szczęście, wskutek sugestii władz centralnych, znaleziono inne rozwiązanie. Fabryka domów będzie zlokalizowana na nieużytkach w obrębie miasta — i

zaoszczędzi się kilkanaście hektarów najlepszych gruntów. Zrobiono również wiele innych „poprawek” w tym duchu w całym planie zagospodarowania Nowego Sącza.

Podobne problemy pojawiły się w planach zabudowy Nowego Targu. Wszyscy wielzą, jak szczególną wartość ma dobra ziemia na Podhalu. Być może nie docenili tego autorzy planu zagospodarowania miasta (chodzi m. in. o budowę dzielnicy przemysłowo-skladowej w Zaskalu) i teraz koncepcja ta będzie opracowywana jeszcze raz z uwzględnieniem, jako ważnego kryterium, ochrony gruntów rolnych.

MARCIN MAKOWIECKI
(„Życie Gospodarcze”)

Autokary w uzdrowisku

„Krynica według nomenklatury prawno-administracyjnej miastem jest. Jest jednakże przede wszystkim uzdrowiskiem. Jednym z nielicznych w Polsce, któremu udało się zachować do dziś niepowtarzalny koloryt i urok „kurortu”.

Na szczycie Góry Parkowej nie słychać gwaru miasta (na szczęście), natomiast nawet w najśrośniejsze, najpogodniejsze południe widać pasma mgiełki snującej się nad uzdrowiskiem. Mgiełka nie jest pochodzenia atmosferycznego. Jest to po prostu smog, wypływany przez rury wydechowe samochodów ciężarowych, osobowych, autobusów i motocykli, które przez kurort przejeżdżają lub ciągną tutaj na wycieczki. (...) Oczywiście, trudno wyobrazić sobie jakiegokolwiek miasto w ostatnich ćwierćwieczu XX wieku, pozbawione transportu samochodowego. Byłaby to utopia i wizja szalonego ekologa. Natomiast można i powinno się ograniczyć napływ do uzdrowiska autokarów wycieczkowych oraz indywidualnych turystów.

KRYSTYNA KNAPIK
(„Szpilki”)

„Lewa” turystyka

Oficjalnie zarejestrowany ruch turystyczny za osiem miesięcy bieżącego (1979) roku wyraża się liczbą 342 tysięcy osób podczas gdy tak zwane obliczenia szacunkowe określają go na ponad 1.966 tys. osób. Jedną z typowych zakopiańskich obślów. Prywatnie, nie objęte miejską gospodarką i statystyką, nie objęte meldowaniem — to specjalność „podhalanskiego domu”. Nikogo za to nie należy winić. Urzędu Miasta i Gminy. Prawidłowe wykorzystanie prywatnych mieszkań dla turystycznego ruchu tak, by wilk był syty i owca cała — to ciągle nierozwiązany problem. O konieczności reform w tej dziedzinie gospodarki mówi się na każdej sesji rady narodowej. Tymczasem „pośrednik” między miastem a prywatnymi właścicielami mieszkań do wynajęcia — przedsiębiorstwo „Tatry” boryka się z coraz większymi trudnościami.

Wynajmowanie kwaterek przez „Tatry” staje się dla właścicieli domów nierentowne. Tak właśnie wielu z nich uważa. Domy i mieszkania stoją puste, lub wynajmowane są poza „Tatrami”.

Mimo że szacunkowa „lewa statystyka” ruchu turystycznego jest mocno przesadzona — coś trzeba zrobić z tą anonimowością zakopiańskiej turystyki.

EDWARD TROJANOWSKI
(„Ekspres Wieczorny”)

Rodzima tradycja

Nowosądeckie muzea mają ogromne zasługi w pielęgnowaniu prastarych tradycji sztuki ludowej i to nie tylko w woj. nowosądeckim, ale w obszarze polskich Karpat. Ponadregionalny charakter posiadają organizowane od wielu lat konkursy współczesnej twórczości ludowej. Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu jest organizatorem konkursów pn. „Współczesna rzeźba ludowa Karpat polskich”. Muzeum w Rabce

patronuje — również w formie konkursów i wystaw — malarstwu na szkło; Muzeum w Limanowej organizuje konkursy haftu ludowego. Dzięki takim organizatorskim działaniom obserwuje się w ostatnich latach wspaniały rozwój tradycyjnej twórczości ludowej.

Wśród wielu działań, podejmowanych w woj. nowosądeckim dla kultywowania i rozwijania rodzimych tradycji kultury i sztuki, wyróżniają się imprezy folklorystyczne, które z jednej strony są organizowane z myślą o turystach krajowych i zagranicznych odwiedzających ten piękny górski region, z drugiej zaś służą nadrzędnemu celowi: ochronie tradycji ludowej kultury i sztuki.

(„Żołnierz Wolności”)

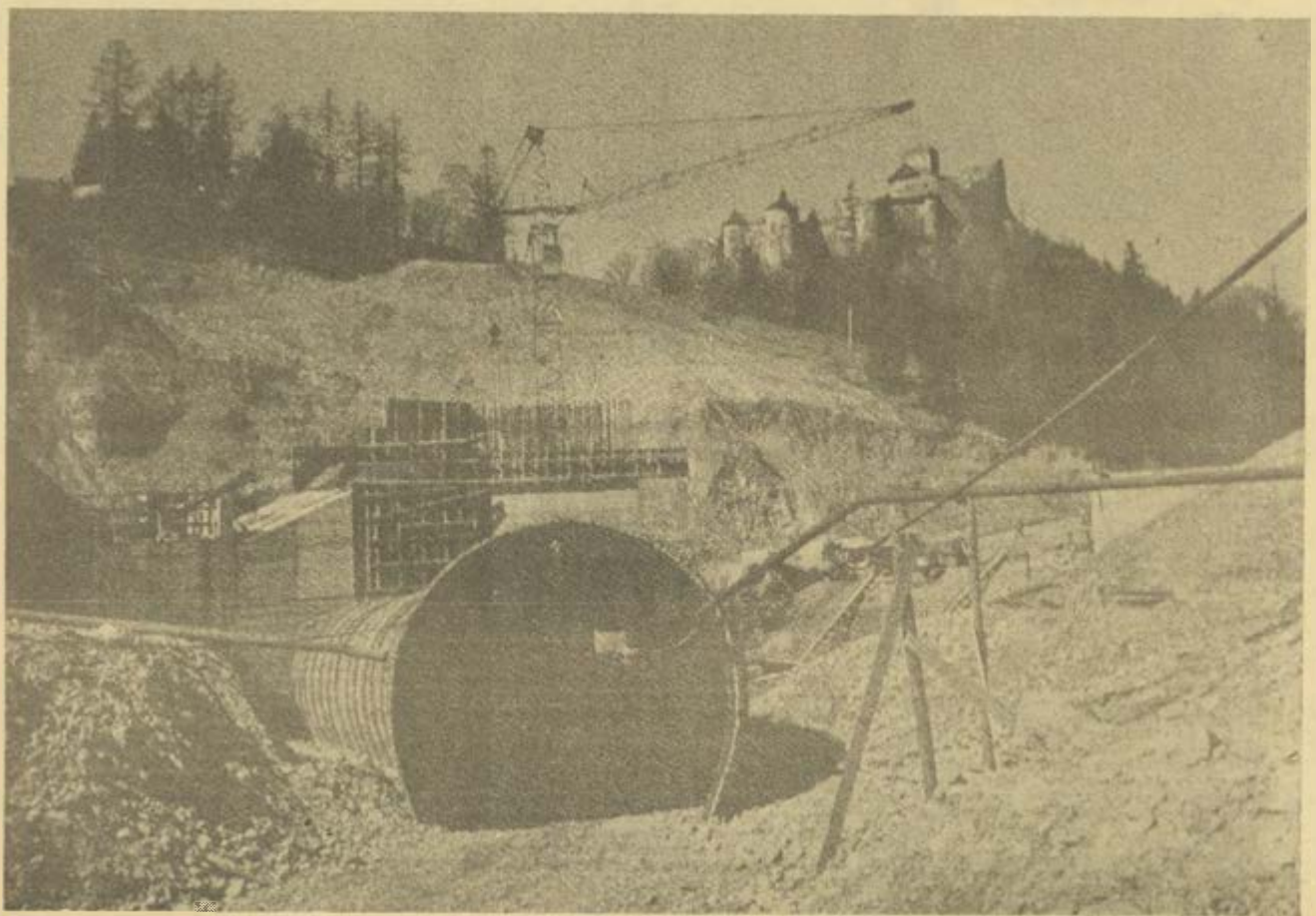
Nowotarsey miłośnicy plastyki

Czy w Nowym Targu — mieście znanym przede wszystkim z wyrobów futrzarskich, mieście hokeistów spod znaku „Szarotki”, miejscowości, która tradycją kulturalną, oprócz regionalnych i folklorystycznych, wielkich nie ma — można stworzyć środowisko plastyczne, doczekać się powstania grupy malarzy, rzeźbiarzy, grafików własnego „choutu”? Okazuje się, iż wszystko jest możliwe, jeśli się tylko tego bardzo chce!

Nowy Targ, pozostający dotąd niejako w „cieniu” środowiska kulturalnego Zakopanego, ma aspiracje posiadania własnej galerii sztuki, ma ambicję organizowania wystaw plastyki nieprofesjonalnej, konkursów plastycznych, ma wreszcie zamiar kształtować i wyrabiać artystyczny gust i smak w dziedzinie sztuki.

Znaleźli się w tym mieście ludzie, którzy poczęli działać na rzecz zmian w tym lepszym, pozytywnym kierunku.

ZYGMUNT ALT
(„Słowo Powszechne”)



Budowa zapory w Czorsztynie

To nieprawda, że nagle nasze polskie sprawy skomplikowały się przy końcu lat siedemdziesiątych. Rodowód trudności energetycznych, zaopatrzeniowych i komunikacyjnych sięga daleko w przeszłość i tylko po części jest wynikiem nowych okoliczności wewnętrznych i zewnętrznych. Żeby dogłębnie pojąć, skąd się bierze kolejka po mieszkaniu i po mięso, dlaczego brakuje części zamiennych i tysiąca innych rzeczy — trzeba by cierpliwie prześledzić mechanizmy gospodarcze, organizację pracy, społeczną dyscyplinę, system płac i cen, politykę kadrową, funkcjonowanie samorządności i wiele dalszych ogniw długiego łańcucha wzajemnych uwarunkowań.

Żeby nie stracić orientacji w sprawach istotnych dla naszego życia zbiorowego, trzeba mieć nie tylko dobrą pamięć o sytuacji wyjściowej, lecz także solidną wiedzę ekonomiczną. Za życia jednego pokolenia spróbowaaliśmy zlikwidować wielką własność prywatną, zmienić sojusze, udostępnić oświatę i kulturę milionom dawnych analfabetów, otworzyć szpitale, żłobki i przedszkola dla biedoty, przekształcić kraj zacofany i bezbronny w państwo silne i nowoczesne.

Historia uszanuje i doceni tę próbę. A współcześni Polacy? Większość narodu, miliony tych, którzy mają pracę, kształcą swe dzieci, szukają mebli do nowych mieszkań? Czy oni również umiają dostrzec owoce owej dziejowej odmiany?

Pomiędzy tych, którzy urządzili się przy socjalizmie najlepiej, a jednak najgłośniejszy krzyż. Jest to osobliwy margines, patologiczne odchylenie od normy. Większość narodu ma świadomość bezpieczeństwa Polski i poczucie, że podstawowe zdobycze socjalne są trwałe.

Nie znaczy to, że w obliczu codziennych kłopotów nie narzekamy na ich dolegliwość. I właśnie w tę stronę kieruje się myśl społeczeństwa. Mniej interesuje nas anatomia splątania się trudności, bardziej — perspektywa ich przezwyciężenia. Ludzie zastanawiają się, dlaczego mimo zbudowania hut, fabryk i magistrali komunikacyjnych nadal brakuje stali, pralek i samochodów, ale storko

Refleksje z Wojewódzkiej Konferencji PZPR

Dokąd zmierzamy?

mocniej rozważają sposoby i możliwości pójścia Polski do przodu. W tym punkcie zamiary Partii sterującej rozwojem kraju i nadzieje społeczeństwa są absolutnie zbieżne.

Podpisujemy się wszyscy pod opinią EDWARDA GIERKA, który u progu kampanii przedzjazdowej powiedział, że w nadchodzących latach musimy zmienić wiele dotychczas stosowanych metod działania, a na ich miejsce wprowadzić takie, które lepiej odpowiadają nowym, z reguły trudniejszym uwarunkowaniom.

Podpisujemy się pod wypowiedzią sekretarza KC, Jerzego Łukasiewicza, który, goszcząc w Nowym Sączu, mówił o potrzebie podwyższenia norm obowiązkowości i odpowiedzialności oraz o konieczności pełnego wyjaśnienia sobie wzajem, na czym polegają czynniki wzrostu **EFEKTYWNOŚCI**.

Henryk Kostecki dopowiedział w trakcie styczniowej Konferencji Wojewódzkiej, że polskim problemem nr 1 jest właśnie owa efektywność: — *Przy czym pragnę z całą mocą podkreślić, że zadanie to nie odnosi się tylko do sfery produkcji.*

Zanim „Dunajec” dotrze do rak Cytelników, odbędzie się pierwsze plenarne posiedzenie nowego Komitetu Wojewódzkiego poświęcone temu centralnemu problemowi. Wszyscy czujemy potrzebę odważnego, kompetentnego i nowatorskiego podjęcia kwestii skuteczności naszych działań.

Odwołajmy się raz jeszcze do do robku ostatniej Konferencji Wojewódzkiej. Reprezentujący władze centralne tow. Bogdan Gawroński

nakreślił trafnie panoramę najpilniejszych przedsięwzięć:

Po pierwsze — potrzebne są nam konsekwentne i słopniowo przeprowadzane głębokie zmiany w stylu zarządzania gospodarką, umacniające rolę planu opartego na rzetelnym zbilansowaniu wszystkich czynników produkcji, rozdzielanych najbardziej celowo z punktu widzenia ogólnokrajowych efektów, a także dające znacznie większe niż dotychczas możliwości rozwinięcia inicjatywy terenu.

Po drugie — potrzebne jest dokonanie głębokich przeobrażeń w świadomości znacznej części kadry gospodarczej i administracyjnej, która doskonale potrafiła pracować w warunkach względnej obfitości rąk do pracy, pieniędzy, materiałów, surowców, energii i inwestycji, a która obecnie nie zawsze radzi sobie w trudniejszych warunkach.

Po trzecie — potrzebna jest nam szeroko pojmowana dyscyplina. W tym — dyscyplina w ogólnokrajowym zarządzaniu, eliminująca partykularyzmy resortowe i zjednoczeniowe, dyscyplina w układach regionalnych, eliminująca nie liczące się z interesem ogólnym nieuzasadnione lokalne apetyty. Potrzebna jest nam także dyscyplina realizacyjna, szczególnie jeśli idzie o jakość i koszty produkcji, oszczędność materiałów i surowców, zakładająca rzeczywistą odpowiedzialność kierowników ogniw realizacyjnych za wszystkie niekorzystne przekroczenia, i wreszcie — znacznie większa dyscyplina na każdym stopniu roboczym.

Po czwarte — potrzebne jest nam

doskonalenie jakości obsługi ludzi przez instytucje, urzędy i zakłady pracy. Kształtowanie prawidłowych stosunków międzyludzkich. Ileż jeszcze można zrobić doskonałą chociażby tylko organizację obsługi klienta i interesanta! Ileż rezerw można uruchomić przez racjonalniejsze rozłożenie godzin pracy urzędów i instytucji, handlu i usług, ośrodków zdrowia i kultury, komunikacji autobusowej czy chociażby punktów skupu i składów opałowych!

Przelóżę te skondensowane myśli na język praktyki społecznej, dopasować je do realiów województwa, zakładu pracy, miejscowości, w której żyjemy — oto główne zadanie na najbliższe tygodnie i miesiące. Trzeba to zrobić, by sprostać wyzwaniu epoki i problemom rozwoju, przed którymi stoi Polska u progu lat osiemdziesiątych. Mówienie o efektywności to załedwie początek sprawy. Posuniemy się do przodu dopiero wtedy, kiedy efektywnie, czyli sprawniej, skuteczniej będziemy działali.

Z gestych od treści, pracowitych obrad styczniowej Konferencji Wojewódzkiej w Nowym Sączu właśnie ten wątek wydał się nam najbardziej istotny. I dlatego na pytanie zawarte w tytule można odpowiedzieć tak: zmierzamy i jako społeczeństwo, i jako Partia ku Polsce racjonalniej spożytkowującej swe bogactwa i talenty, zmierzamy ku takiej organizacji naszego życia zbiorowego, która nie trwoni rzetelnego trudu większości obywateli i stawia tamy marnotrawstwu, nieudolności i złej woli mniejszości.

Partia inspirująca ten kierunek myślenia zyska nowych sojuszników we wszystkich środowiskach, bo naprawdę coraz powszechniejsze jest przeświadczenie, iż pomyślność Polaków zależy od tego, na ile kompetentnie i nowoczesnie posługiwali się będziemy potencjałem wypracowanym w ciągu 35 lat budowania socjalizmu.

Oszczędność, chłodna kalkulacja, słowność i stała gotowość do doskonalenia swych poczyni — oto cnoty bogatych społeczeństw. Nie ma powodu, byśmy ich nie naśladowali, nawet jeśli wyda się to początkowo mało efektywne.



Zdjęcia: STANISŁAW ŚMIERCIAK

Edmund Piekarz

Jak pomóc rolnikowi?



Fot. WLADYSŁAW WERNER

— Gleby należą tu do najgorszych w kraju. Gospodarstwa małe, położone na stromych zboczach. Niezmierzony trud i wysiłek sprawiły, że pod względem produkcji towarowej z ha zajmujemy 38. miejsce wśród 49 województw w kraju. Posiadamy najwyższą obsadę bydła, wynoszącą prawie 98 sztuk i 58 krów na 100 ha. Jego jakość pozostawia jednak wiele do życzenia.

— Obok hodowli bydła licząc się galezią produkcji jest chów owiec. W tej dziedzinie zajmujemy pierwsze miejsce w kraju, posiadając 155 tys. sztuk, a więc ponad 56 owiec na każdym 100 ha. Ale nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa w tym względzie.

Zeby zwiększyć stado do 250 tys. sztuk w 1985 roku, trzeba zwrócić baczną uwagę na lepsze wykorzystanie dotychczas mało wydajnych hał. W roku ubiegłym 40 tys. owiec musiało korzystać z wypasów w innych województwach, za 5 lat powinniśmy być samowystarczalni.

— Drugim podstawowym kierunkiem produkcji — obok hodowli — jest sadownictwo, które zajmuje prawie 9 tys. ha. Niestety, ponad połowę stanowią sady, nie dające jeszcze dostatecznej produkcji. A więc nie przeznaczanie dalszej ziemi pod nowe sady, ale unowocześnianie istniejących winno być głównym kierunkiem działania w najbliższych latach...

— Zdawać sobie trzeba sprawę z tego, że 30 proc. ogółu gospodarstw chłopskich to gospodarstwa nie przekraczające 2 ha ziemi; 41 proc. stanowią gospodarstwa od 2 do 5 ha. Powyżej 5 ha powierzchnię posiada niepełna 25 tys. gospodarstw. Niepokojący jest fakt, że w ostatnich 3 latach ubyło sporo gospodarstw większych, natomiast o 2,5 tys. powiększyła się

liczba gospodarstw od 0,5 do 5 ha. Przybyło również 2.300 działek rolnych o powierzchni do pół hektara.

— Ale czy to rzeczywiście jest zasadniczą przeszkodą w intensyfikacji produkcji? Na początku lat siedemdziesiątych gospodarstwa pomocnicze kolchozników w Związku Radzieckim dostarczały około jednej trzeciej produkcji zwierzęcej. Drobne gospodarstwa na Węgrzech dawały ponad połowę żywności wieprzowej. W Bułgarii z gospodarstw przyzagrodowych pochodziło ponad 40 proc. mięsa, 1/4 mleka oraz blisko połowa ziemniaków...

I w województwie nowosądeckim są takie możliwości. Świadczy o tym coraz bardziej zagęszczająca się sieć osi organizujących gospodarstwa specjalistyczne, które z każdego hektara dają wielokrotnie wyższą produkcję towarową niż tradycyjnie gospodarujący sąsiedzi. A przecież w Nowosądeckim gospodarstwa te niewiele odbiegają wielkością od gospodarstw pozostałych. Intensyfikacja produkcji sadowniczej w rejonie Tymbaru świadczy również o należytnym wykorzystaniu każdego, choćby najmniejszego skrawka ziemi, którą można przeznaczyć pod uprawę porzeczek.

— Duża ilość opadów w okresie jesienno-lętnym sprzyja rozwijaniu upraw krzewów owocowych. Z tymi uprawami oraz z warzywami pod folią powinniśmy iść do małych gospodarstw, posiadających jeszcze zbyt wiele rak do pracy. Z niewielkich zagonów też można uzyskać spore dochody.

— Ale zwiększenie powierzchni upraw krzewów owocowych powoduje wzrost zapotrzebowania na środki produkcji. Niektórych środków brakuje w sprzedaży. Nie ma np. lekkiej aparatury do przeprowadzania glebiących

Co trzeba zrobić, aby lepiej wykorzystać nowosądecką ziemię? Gdzie kryją się rezerwy naszego rolnictwa? Próba odpowiedzi na te pytania była dyskusja, którą prowadził sekretarz KW PZPR Antoni Rączka, zaś uczestniczyli w niej: Adam Surman — prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej; Zbigniew Haraf — sekretarz KM PZPR w Nowym Sączu; Ludwika Brzozowska — wiceprzewodnicząca ZW ZSMP; Norbert Poślednik — wiceprezes WZKR; Jan Mazanec — dyrektor Banku Gospodarki Żywnościowej; Józef Ochwat — prezes Zarządu Wojewódzkiego Związku RSP; Adam Tomczyk — I sekretarz KG PZPR z Kamionki. Podstawę do przemysłu stanowiły referaty prof. dra hab. Konrada Bajana, doc. dra hab. Tadeusza Romanowskiego, doc. dra hab. Jana Roszczyńskiego, wicewojewody — Władysława Fabera i mgra inż. Leszka Korzeniowskiego.

szkańca przypadało w Polsce 0,84 ha użytków rolnych, w tym 0,69 ha gruntów ornych. W 1977 roku było już tylko 0,55 ha użytków rolnych, a 0,44 ha gruntów ornych. Na cele nierolnicze zabrano w tym czasie w całym kraju 1,3 mln ha ziemi uprawnej. Przy założeniu, że powierzchnia użytków rolnych będzie się zmniejszać rocznie o 40 tys. ha, a liczba ludności wzrastać — w 2000 roku na każdego z nas przypadnie już będzie tylko 0,47 ha użytków rolnych. Pod tym względem nie lepiej jest w Czechosłowacji, która na 1 mieszkańca posiada aktualnie 0,47 ha użytków rolnych, w NRD — 0,37 ha. Małe powierzchnie zagony w przeliczeniu na jednego mieszkańca mają Austria (0,50 ha), Szwecja (0,45), Wielka Brytania (0,33), Włochy (0,31), RFN (0,32), Belgia (0,16), Holandia (0,15). Wyposażenie rolnictwa w tych krajach, organizacja pracy, efektywność wykorzystania maszyn, ilość środków produkcji, wysoka wiedza rolników sprawiają jednak, że produkcja z każdego ha jest o wiele wyższa niż u nas.

— W latach 1970—78 ilość ciągnięć w polskim rolnictwie wzrosła z 224 tys. do 540 tys. Rolnicy indywidualni na początku tej dekady mieli 54 tys. traktorów, a dziś dysponują 170 tys. W przeliczeniu na 1 ha występowo nawozów w czystym składniku wzrósł z 123 do 190 kg. Ilość pasz — z 4 do 9 mln ton. Równocześnie jednak wieś poważnie się zestarzała. Około 40 proc. właścicieli gospodarstw przekroczyło 60 lat życia, ponad jedna trzecia nie ma następców, przeszło milion gospodarstw należy do dwuzawodowców. Około 35 proc. gospodarstw prowadzi kobiety. W tych drobnych gospodarstwach traktory i ciężkie maszyny nie mogą być należycie wykorzystywane. Powinny w nich pracować konie. Jeden koń zdolny jest obsłużyć gospodarstwo 6—7 hektarów.

— Zadaniem rolników winna być troska o wysoką produkcję. Przewoż tej produkcji ze wsi do miasta musi zapewnić spółdzielczość, z którą rolnik jest związany umowami kontraktacyjnymi. Tymczasem w niewielkich gospodarstwach znajdują się wielotonowe ciężarówki, niejednokrotnie stojące na podwórzu całymi tygodniami — nie wykorzystane.

— Wiele do życia pozostawia kontraktacja, zarówno rolniną jak i zwierzęcą. Należałoby wcześniej porozumieć się z rolnikami, pomóc mu w doborze odpowiedniego materiału wyjściowego, zorganizowaniu bazy paszowej itp. Pod tym względem nieco lepiej jest w sadownictwie. Ale i tu zdarzają się przypadki, że po zawarciu umowy kontraktacyjnej rolnik pozostaje sam z rozlicznymi problemami.

— Spore rezerwy kryją gospodarstwa młodych rolników. W Nowosądeckim jest ich około 3.500. Wprowadzając nowoczesność, sporo inwestują. Ale ich start jest o wiele trudniejszy niż młodych w mieście. Opóźnia się co najmniej od 5 do 9 lat. A gdyby tak w gminach, może przy SKR-ach, zorganizować specjalne brygady specjalistów i fachowców różnych branż, które pomogłyby w „rozruchu” gospodarstwa, czasem przecież zaniedbanego po przejęciu, można by znacznie szybciej osiągnąć wysoką produkcję. Przydałby się też jakiś specjalny fundusz, z którego młodzi rolnicy mogliby łatwiej niż dotychczas korzystać.

— Komasacja rozdrobnionej ziemi i rekultywacja odlogów w południowo-wschodniej części województwa, budowa dróg dojazdowych do pól to również szansa zwiększenia produkcji...

— W najbliższych latach SKR-y winny wprowadzać nowe formy współdziałania z rolnikami indywidualnymi. Szczególną uwagę zwrócić na rozszerzanie usług kompleksowych, obejmujących cały cykl produkcji poszczególnych upraw. Przygotowujemy się do wprowadzania specjalizacji już nie tylko pojedynczych gospodarstw, lecz całych wsi i rejonów.

✻ ✻

Czy to wszystkie rezerwy i możliwości do wykorzystania? Zapewne nie. Powodzenie naszych przedsięwzięć uzależnione będzie nie tylko od samych rolników. Dział bowiem w POMO-je i przedsiębiorstwie transportowym, w spółdzielni wiejskiej i zakładzie przemysłowym, w instytucji mającej stażę wsi i w przedsiębiorstwie budowy dróg, urządzeń i instytucji, z którą kontraktować się muszą rolnicy — przecież tak możemy do tego, aby mieszkańcom wsi pracować się lepiej. Każdy z nas w jakiś sposób jest współodpowiedzialny za funkcjonowanie rolnictwa

Kiedy jesteśmy w Rumunii, Bułgarii czy na Węgrzech, nie bez zażdrości stwierdzamy, że tam — w każdym sklepie spożywczym czy w restauracji, w najmniejszej nawet miejscowości — otrzymać można zawsze mineralną wodę stołową. Tymczasem u nas, jeśli tylko zagrzeje mocniej słońce i zacznie doskwierać pragnienie wówczas w handlu i gastronomii — nastaje posucha; nie uświadczysz bowiem nigdzie butelki z mineralną.

A przecież Polska jest krajem wodą mineralną płynącym, jednym z najbardziej zasobnych w złoza tych wód w Europie. Szkołę jednak w tym, że nader mierna jest ich eksploatacja, a tym samym — bardzo skromne spożycie. Wszelkie statystyki i porównania z innymi wypadają zdecydowanie na naszą niekorzyść. Nawet w Szwecji, gdzie pije się stosunkowo niewiele wód stołowych w porównaniu z innymi krajami Europy zachodniej i tak spożycie to jest dziesięciokrotnie większe, niż w Polsce. Przypada tam na jednego mieszkańca 105 butelek rocznie po 0,30 litra, u nas — niewiele ponad 10 butelek. Jedno tylko przedsiębiorstwo w rejonie Vichy, we Francji, zajmujące się rozlewaniem wód, dostarcza ich bez mała tyle, ile butelkują wszystkie rozlewnie w Polsce razem wzięte.

W krajowych dostawach mineralnej licza się przede wszystkim dwa rejon: Sudety, z Polanicą na czele, z której pochodzi „Staropolińska”, i rejon o największym w kraju wydobyciu — Beskidy, a ściślej — obszar województwa nowosądeckiego, w tym głównie: Wysowa, Krynica, Muszyna, Piwniczna, Szczawa, Szczawnica. Obecnie w Nowosądeckim eksploatuje się w różnych celach 65 wypływów naturalnych (źródeł) i 65 wypływów sztucznych (odwiertów) o łącznej wydajności 4.705 metrów sześciennych na dobę, z czego dla celów rozlewniczych przypada 1.040 m³ na dobę. Z tych właśnie ujęć trafia woda na „gorące” stanowiska w hutach i fabrykach oraz do gastronomii i na stoły domów, głównie województw krakowskiego, tarnowskiego i nowosądeckiego. Odbiorcy otrzymują rocznie około 85 milionów butelek (po 0,33 l), „Krynicańki”, „Wysowianki”, „Piwniczanki”, „Muszynianki” i „Szczawniczanki”. Są to ilości niemałe, ale w porównaniu z potrzebami dalece niewystarczające, a wręcz znikome w zestawieniu z zasobnością istniejących złóż.

Odpowiednie zadania na tym polu zawarte są w Uchwale Rady Ministrów z 5 października 1979 roku w sprawie rozwoju województwa nowosądeckiego w dziedzinie leśnictwa, uzdrowiskowego, turystyki i wypoczynku w latach 1981—1990. Nim jednak przedstawimy wynikający z uchwały program dalszego wykorzystania zasobów wód mineralnych, zaczynamy od krótkiej prezentacji ujęć już eksploatowanych. Mówi o nich zastępca przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Planowania w Nowym Sączu, mgr JÓZEF WIKTOR.

KRYNICA — miejscowe PP „Uzdroska” produkuje rocznie ok. 30 mln butelek „Krynicańki” — wody stołowej, cieszącej się największym powodzeniem; prócz tego pozyskuje się tu wody lecznicze „Jan” i „Zuber” na łączną ilość 5,5 mln butelek po 0,5 litra. Istnieją tu jeszcze tylko niewielkie rezerwy „Zubera”.

PIWNICZNA — tutejsza rozlewnia podległa Wojewódzkiemu Związkowi Rolniczych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” od roku 1979, po zainstalowaniu kosztem 45 mln złotych następnej linii rozlewniczej, zwiększyła produkcję z 19,5 do 27 mln butelek „Piwniczanki”.

MUSZYNA — działający tu zakład spółdzielni „Postęp”, podległy WSS „Społem” w Krynicy, wydobywa rocznie 10—11 mln butelek „Muszynianki”.

SZCZAWA — Gmina Spółdzielnia w Kamienicy uruchomiła tu w lipcu ub. roku rozlewnię wód mineralnych o docelowej zdolności produkcyjnej 9,7 mln butelek rocznie. Po wielu latach, w których nijakiej raz zapowiadano rozpoczęcie w Szczawie budowy zakładu, wreszcie zaczynamy otrzymywać stąd wodę. Jest to jednak dopiero początek i pozyskiwane w Szczawie obecnie ilości wód są niewielkie.

SZCZAWNICA — najmniejsza rozlewnia, nie przekraczająca 2,5 mln butelek rocznie. Nie występują tu także rezerwy wody. Rozlewnia wód znajduje się w centrum uzdrowiska i dlatego producent „Szczawniczanki” PP „Uzdrowska Polska” postanowił przenieść zakład poza obręb kurortu, gdzie obecnie trwa budowa nowej rozlewni.

WYSOWA — trzeci po Krynicy i Piwnicznej zakład pod względem wielkości produkcji wód. Dostarczał on do 1978 roku 21,2 mln butelek „Wysowianki” rocznie. Od ub. roku, dzięki rozbudowie i modernizacji, rozlewnia zwiększyła

kiszła wydobycie o 600 tysięcy butelek, które docelowo, czyli od 1982 roku, ma powiększyć się o 5 mln butelek.

Ostatnie lata nie przyniosły więc znaczącego wzrostu wydobycia wód mineralnych w województwie nowosądeckim. Można się spodziewać, że wspomniana rozbudowa i modernizacja zakładów w Piwnicznej i Wysowej oraz uruchomienie rozlewni w Szczawie — powinny zwiększyć dostawy w latach 1980—81 z otrzymywanych dotąd 85 mln butelek do 100 milionów. Jednakże przyrost ten, wynoszący około 15 mln butelek, nie może nikogo zadowalać.

Są więc on-zresztą jeszcze mniej imponujący, jeśli porównamy go z udokumentowanymi, a nie wykorzystywanymi zasobami, które wynoszą w

Drugim dużym przedsięwzięciem planowanym na lata 1982—1985 ma stać się budowa rozlewni w Tylczu, która dostarczać będzie 60 mln butelek wody rocznie. Koszt tej inwestycji oblicza się na 240 mln złotych, przy czym w kwocie tej uwzględnia się wydatki na infrastrukturę, czyli na budowę m. in. ujęcia wody i oczyszczalni ścieków. Obydwa zakłady wyposażone zostaną w czechosłowackie linie rozlewnicze firmy „Nama”. Dodajmy, że linie te, pracujące m. in. w Piwnicznej, zdają dobrze egzamin.

Natomiast pod znakiem zapytania jest kwestia dalszego wykorzystywania wód mineralnych w Szczawie. W sprawie tej wystąpiła dyrekcja uzdrowiska w Rabce do Zjednoczenia „Uzdrowska Polska” z postulatem budowy rozlewni w celu pozyskiwania wód mineralnych z trzech odwiertów: „Hanna” o wydajności 12 metrów sześciennych na dobę, odwiert nr 1 — 16,8 m³ i odwiert nr 2 — 4,8 m³ na dobę. Wody te, zalegające na głębokości 80—100 metrów, odznaczają się najwyższą jakością pod względem czystości bakteriologicznej. Wydajność rozlewni szacuje się na 30 tysię-

wód mają niektóre istniejące już zakłady. Rozlewnia wód w Muszynie, z chwilą zainstalowania w niej kilku linii butelkowania wód, mogłaby dostarczać 115 mln butelek, czyli ponad 10 razy więcej, niż obecnie.

Czym należy tłumaczyć tak niewielkie zainteresowanie eksploatacją tak wielkich złóż wód mineralnych? Zwłaszcza że ich produkcja, mimo niewysokiej ceny detalicznej butelki wody, jest opłacalna. Dodajmy — produkcja, dla której nie trzeba starać się o dowóz surowców, odpada także kłopoty z kooperantami. A co najważniejsze, wody tej potrzebują cały kraj.

Zainteresowanie pozyskiwaniem mineralnej — powiedziano mi w nowosądeckiej Komisji Planowania — byłoby może i większe, gdyby inwestorzy nie musieli ponosić kosztów badań geologicznych. Powinien prowadzić je i finansować Centralny Urząd Geologii, lecz w praktyce prace te pozostają poza zasięgiem działania Urzędu. Dochodzi więc do tego, że bardzo kosztowne wiercenia, związane z udostępnieniem źródeł wód mineralnych, obciążają zna-

Tadeusz Stec

MINERALNA — NA STÓŁ!



Fot. STANISŁAW ŚMIERCIĄK

Nowosądeckiem 216,2 m sześć. wody na godzinę. Stopień ich wykorzystania, sięgający dotąd zaledwie 13 procent, powiększy się w tym i w przyszłym roku do 15 procent. Złóża nie eksploatowane wód występują w 19 miejscowościach, w ośmiu — według aktualnego stanu rozpoznania geologicznego — nadają się do butelkowania.

Nikt jednak przez ładnych kilka lat nie kwapił się do budowy nowych rozlewni, do wykorzystywania plynnych bogactw z wodonosnych złóż. Oby zatem urzeczywistnienie wspomnianej Uchwały Rady Ministrów usunęło cień stagnacji, jaki zaważył nad źródłami i odwiercami ziemionych zasobów wód mineralnych. Do roku 1982 przewiduje się bowiem zbudowanie w Powroźniku kosztem 140 mln złotych — rozlewni o docelowej produkcji 75 mln butelek mineralnej. Podany koszt zakładu, którego inwestorem jest Wojewódzki Związek Spółdzielni Rolniczych, nie obejmuje wszystkich nakładów, gdyż nie uwzględnia wydatków na obiekty towarzyszące.

cy butelki dziennie. O jej budowie, tak dotąd, nie ma jednak jeszcze żadnej decyzji.

Spróbujmy dokonać krótkiego bilansu. Bilansu potrzeb i możliwości. Jeżeli w najbliższych dwóch latach istniejące rozlewnie zwiększą przewidywane wydobycie wód mineralnych, szczególnie gdy zbudowany zostanie zakład w Powroźniku, wówczas produkcja wód, pod koniec 1982 roku, powinna zwiększyć się z 100 do 185 milionów butelek. Będzie to już odczuwalny wzrost wydobycia, choć nadal jeszcze utrzyma się niski stopień eksploatacji zasobów.

Dotyczy to — podkreślam — zasobów w pełni udokumentowanych. A przecież nie brak źródeł nie w pełni zbadanych. Wierchomla, Wapienne, Głębokie, Miłki, Łomnica. Z samej tylko Łomnicy, według wstępnej rozpoznania, można wydobywać rocznie 100 mln butelek, a z Wierchomli 75 — 80 milionów. Duże szanse poważnego wzrostu wydobycia

cznie nakłady inwestycyjne na budowę rozlewni i pogarszają ich efektywność. Jedno wszakże nie ulega wątpliwości. Wody mineralne — jeden z ważnych składników diety żywieniowej człowieka — muszą w większej obfitości docierać z Beskidów na nasze stoły.

I jeszcze kilka słów o kłopotach samych producentów wód mineralnych. Pierwszy — to brak butelek. Zakład w Piwnicznej np. — stwierdził jego dyrektor mgr inż. ZBIGNIEW SKWARZEK — pracuje bez zapasów opakowań szklanych. Brakuje co najmniej 25 procent butelek, gdyż nie wywiązują się w pełni z dostaw huty w Orzeszu i Jarosławiu. Same zaś tylko butelki pochodzące ze skupu nie wystarczają. Czy w tej sytuacji nie należałoby wprowadzić większych, półlitrowych, a nawet litrowych butelek? Godny naśladowania jest projekt Zakładów Chemicznych w Oświęcimiu, które postanowiły odbierać wodę mineralną z Wysowej w cysternach i napełniać nią butelki we własnej zakładowej rozlewni.

To było w pierwszą niedzielę października ubiegłego roku w Zagrzebiu. Kończył się Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalek w języku esperanto. Siedziałem w wypełnionej po brzegi sali teatralnej wśród jugosłowiańskiej publiczności, pospolu z aktorską bracią z Francji, Hiszpanii, Jugosławii i Rumunii. Ceremonia zakończenia wspaniałej imprezy była nader miła, rodzinna wręcz. Zespół „Rabcia” nie przeaczał jeszcze, że właśnie za chwilę do niego uśmiechnie się dobry los. Jury Festiwalu rozpoczęło rozdawanie nagród. Aż sześć dla „Rabcia”! Radość i satysfakcja w pol-

Ale to jeszcze nie wszystko. Festiwalowe spektakle oceniało międzynarodowe dziecięce jury. 53 młodych esperantystów z Jugosławii, Norwegii, Węgier i Włoch przyznało swoją jedyną i główną nagrodę naszemu teatrowi z Rabki. W kulaarach Festiwalu w Zagrzebiu nie ukrywano, że nagroda dziecięcego jury jest najwartościowsza, wszak teatry lalek pracują przede wszystkim dla dzieci.

Zrobiliśmy sobie wspaniały prezent na 30-lecie „Rabcia” — powiedziała mi w Zagrzebiu wzruszona i szczęśliwa Irena Józefiak — aktorka i dvrekto: teatru. — *Myszę, że nagrody tu zdobyte ucieszą naszych przyjaciół. Polskie dzieci nagra-*

lenia „regionalny”, ale byłoby cudownie, gdyby znaleźli się autorzy, którzy specjalnie dla „Rabcia” napisaliby kolejne widowiska oparte na motywach góralskiego folkloru.

Wielokrotnie pisano, że jest to bardzo osobliwy teatr. Znam go z górą piętnaście lat i również do takiej opinii się skłaniam. Powstał w 1948 roku w rabczańskim Zespole Sanatoriów Przeciwdrożdżyczych. Odwołując się do tej daty trzeba koniecznie przypomnieć, iż w pierwszych powojennych latach Rabka uczęszczała w gojeniu pookupacyjnych ran. Gruźlica u dzieci była następstwem lat wojny. STANISŁAW RĄCZ-

wie czekającą dzieciarnią; o spektaklach granych przy świecach, czy naftowych lampach. W kronikach „Rabcia” figuruje już blisko dwadzieścia nazw miejscowości, w których teatr był i zdobył przyznawania.

W 30-lecie „Rabcia” dał 50 premier, grał 5.700 razy — z tego ponad 3.600 razy w obcizbie, wszystkie spektakle oglądało ponad milion widzów.

W „Trybunie Ludu” Z. Kwiecińska chwala „Rabcia” („W małej Rabce dobry teatr”) napisała: *Trudno znaleźć teatr, który pracowałby w równie ciężkich warunkach. Ale sukcesy są, a pod względem poziomu artystycznego dorównuje on, a niekiedy przewyższa placówki, które posiadają nowoczesne sceny, widownie i zaplecze. Swoje miejsce w świecie lalkarskim „Rabcia” zawdzięcza chyba tylko zespołowi, który pracę tę pokochał i ma pełną świadomość, że jest ona nie tylko przydatna, ale i niezbędna. W pełni podpisuję się pod tymi słowami.*

Na będę więc odpowiadał na tytułowe pytanie. Z okazji Jubileuszu życzę „Rabciovi”, by nie stracił unoru i... cierpliwości. Nie wiem, czy, tak jak podczas obchodów 15. 20 i 25-lecia, ktoś odważy się znowu obiecać „Rabciovi”, że już na pewno kolejny jubileusz będzie obchodził we własnym teatrze, ale wierzę, że każdy z kolejnych jubileuszów odbywać się będzie wśród dzieci, które po prostu „Rabcia” kochają i potrzebują.

Tym wszystkim, którzy dawną nie byli na spektaklu teatru lalek, dedykuję wiersz ELŻBIETY ZECHENTER-SPŁAWIŃSKIEJ napisany na 30-lecie „Rabcia”:

Kiedy dorosił
bawia się lalkami
dzieci śledzą uważnie
sznurki i sprężyny
i bardzo dobrze widzą
czemu lalka tańczy
i bardzo dobrze słyszą
czym mówi głosem
że ma głowę drewnianą
gałganekowe ręce
że patyczkiem podparła
róż groza nie warta
lecz tylko dzieci płaczą
leci lalka płacze
bo tylko dzieci widzą
że w lalce jest serce

(STRACH)

PO CO RABCE TEATR?

kim obozie duża, bo — używając terminologii sportowej — teatr z Rabki na pewno wygrał Festiwal zespołowo. A więc PIERWSZA nagroda Festiwalu za prezentację widowiska „O Zwyrtale muzykancie” w języku esperanto. Widowisko JANA WILKOWSKIEGO — wg znanego opowiadania Kazimierza Przerwy-Tetmajera — przetłumaczył na język esperanto ANDRZEJ PETTYN. Spektakl „Pri Zvirtanto muzikanto” reżysersko przygotowała JOANNA PIEKARSKA, autorem scenografii był JERZY KOLECKI, a znakomitą oprawę muzyczną „wydajał” JAN JEDROL z kapelą zespołu góralskiego „Harnasie” z Poronina.

Nagroda dla „Rabcia” spotkała się z owacjami; rabczański teatr zrobił furorę w Zagrzebiu, a góralska śpiewka o Janosiku w języku esperanto stała się prawdziwym przebojem Festiwalu.

Później wywoływano laureatów nagród indywidualnych. KAZIMIERZ JASIŃSKI otrzymał drugą nagrodę aktorską za rolę Zwyrtale, a IRENA JÓZEFIAK odbierała dwie nagrody: trzecią, aktorską, za rolę Anioła, i specjalną za biegłą znajomość języka esperanto poza sceną. PAWEŁ STOJOWSKI natomiast został uhonorowany wyróżnieniem jury za znakomitą animację lalki Janosika

dział nas w Telewizyjnych Festiwalach Widowisk Lalkowych organizowanych przez Telewizję Polską. Tu w Zagrzebiu, a przedtem w kilku miastach Jugosławii, dzieci oglądające „Zwyrtale” utwierdziły nas w przekonaniu, że „Rabcia” jest teatrem dzieci. Po to powołano w Rabce do życia teatr lalkowy, temu postanowieniu byliśmy wierni przez trzydzieści lat.

Rozpisałem się o Festiwalu w Zagrzebiu, ale trudno było skwitować kilkoma zdaniem i w pełni zasłużony sukces „Rabcia”.

Widowisko „O Zwyrtale muzykancie” zajmuje wyjątkową pozycję w dotychczasowym repertuarze rabczańskiego teatru. Od kilku lat nie schodzi z afisza, doczekało się blisko 400 realizacji, było nagradzane w ogólnopolskim telewizyjnym festiwalu, aktorzy z Rabki z powodzeniem prezentowali „Zwyrtale” w Republice Federalnej Niemiec. Ów Zwyrtalowy sukces jest ściśle związany z tym, że realizatorami spektaklu byli ludzie z Rabki, czujący folklor, znający górali i góralszczyznę.

Przed laty popisowym spektaklem rabczańskiego teatru było widowisko „Hej, idem w las” DOROTY STOJOWSKIEJ — aktorki i reżyserki „Rabcia”. Nie chciałbym przydawać teatrowi okre-

KO z gronem szlachetnych zapaleńców utworzyła teatrzyk kukielkowy, który chciał nieść chorym dzieciom radość. Jaleńki to był teatrzyk. Aktorzy-amalorzy, z rekwiizytami mieszczącymi się w kilku walizkach, odwiedzali sanatoria, grali baśnie „O krasnoludkach i sierotce Marysi”, „O Kasl, co gaski zgubiła”. Teatrzyk był sprzymierzeńcem lekarzy, a dodatkowym lekarstwem stał się uśmiech. To mali pacjenci rabczańskich sanatoriów przed 30 laty wymyślili sympatyczną i trafną nazwę teatru: „Rabcio Zdrowotek”.

Rychło okazało się, że teatr jest potrzebny nie tylko chorym dzieciom. O spektakle „Rabcia Zdrowotka” zaczęły upominać się dzieci z gorczańskich, później podhalańskich wiosek. Zaczęło się poważne teatralne życie „Rabcia Zdrowotka”. Aktorzy wędrowali piechotą, jeździli furmankami i własną zdezelowaną ciężarówką, docierali do zagubionych w górach wiosek, w których nigdy dotąd nie widziano prawdziwego teatru. Dziś jak anegdota brzmi wspomnienie o wyprawach w 30-stopniowy mróz do jakiejś podhalańskiej wsi, o zaskoczeniu, gdy po parogodzinym opóźnieniu, spowodowanym kłóścą z rzędu awaria ciężarówki, aktorzy spotykali się z cierpli-



Fot. STANISŁAW MOMOT

Janusz Koszyk

KRÓLESTWO ZEGARÓW

Są postacie, firmy, zawody, które na stałe wrastają w pejzaż każdego miasta. Nierozdzielnie od 78 lat z Nowym Sączem związana jest firma zegarmistrzowska rodziny Dobrzańskich. Tkwi ona od zarania w handlowej pierzei ul. Jagiellońskiej — raz tylko w latach pięćdziesiątych przesuując się o jeden segment lokalu sklepowego.

Już z odległej perspektywy ulicy widoczny jest charakterystyczny sztyl — okrągły zegar, zawieszony na ozdobnym wysięgniku. Pod nim niewielka witryna, w której pyszni się czasomierz z „brylantową” metryką firmy i jeszcze węższy wchód prowadzi do królestwa zegarów.

Dostojne zegary szafkowe o barokowej czy neoklasycystycznej architekturze bajecznie kolorowe mieszczańskie chronometry z przełomu stuleci, strojne ludowy ornamentyką zegary z kukułką — odmierzają czas miarowym rytmem sekund, minut, kwadransów, godzin, przepłatanym melodyjnym dźwiękiem kurantów, kukaniem kukulek. W ich rozmowę wsluchuje się senior zegarmistrzowskiego rodu, pan HENRYK DOBRZAŃSKI — zna na wskroś ich mechanizmy, wiele sam zrekonstruował. Te najwspanialsze — to rodzinne pamiątki, przechowujące wspomnienia po bliskich nieobecnych. Choćby taki zegar stolowy, bidermajerowski, z 1840 r., z marmurowymi kolumnami, podtrzymującymi piękną ażurową tarczę z mechanizmem kalendarzowym i rodowym herbem „Sas”, wygrywający co godzinę na przemian to mazurka Dąbrowskiego, to Chopina — symbol rodzinnych i patriotycznych tradycji. Jest też okazały zegar szafkowy, upamiętniający powstanie w 1901 r. firmy Dobrzańskich w królewskim mieście Nowym Sączu. Poza tarczą, sprowadzoną z Wiednia i skrzynką artystycznie wykonaną przez stolarza kolejącego, Karola Ryniewicza, serce zegara z misternie odrobionymi wskazówkami i kalendarzem są dziełem mistrza Jana Dobrzańskiego — ojca pana Henryka i założyciela firmy.

W niejednym nowosądeckim domu czy instytucji, ulatujący czas odmierzają i dzieło ziętych rąk mistrza Jana chwałą — stare, kunsztowne zegary. Ostatnio wrócił do firmy zegar tu wykonany i sprzedany w 1904 r. z roczną gwarancją — po 74 latach trafił przypadkowo do naprawy i po krótkich targach z klientem wzbogacił kolekcję.

Pierwszy z rodu, Jan Dobrzański, zegarmistrzowskiego fachu nauczył się w sławnej fabryce zegarów wieżowych Michała Mięsiowicza w Krośnie. Stąd, już jako towarzysz cechowy, został polecony przez swojego pryncypała władzom nowosądeckim do sprawowania pieczy nad świeżo zainstalowanym zegarem na wieży ratuszowej. I odtąd mistrz Jan dzielił czas między liczną klientelę w Zakładzie a codzienne wizyty na wieży ratuszowej — skąd miał już blisko do fotela rajcy miejskiego i na posiedzenia cechowych „strzech”. A dla podtrzymania kondycji, niezbędnej do pokonania 162 stopni wiodących na ratuszową wieżę, i wykonania tam 75 obrotów korbą, unoszącą każdorazowo 60-kilogramowy ciężar — chadzał do „Sokoła” i dźwigał sztangę. Czynny i aktywny do ostatniej chwili — zmarł w pełni sił w roku wybuchu wojny.

Sukcesja zakładu spadła na barki młodego wówczas adepta sztuki zegarmistrzowskiej — Henryka. Przyszedł okrutny czas okupacji. Co raz ktoś bliski z rodziny, przyjaciół, znajomych ginął zamęczony w hitlerowskich więzieniach czy obozach koncentracyjnych. Wtedy, po zamknięciu sklepu, schodzili się u pana Henryka koledzy, aby na zapleczu w

kartorku posłuchać komunikatów frontowych z radia przez niego skonstruowanego, a zakonspirowanego w zegarowej skrzyni. I długo przyszło im czekać na krzepiące wiadomości o zbliżającym się wyzwoleniu.

Jeden z okupacyjnych epizodów, związanych z powinnością podtrzymywania rytmicznej służby ratuszowego zegara, pan Henryk mógł przypłacić życiem. Nie lubi o tym wspominać, ale wyreczę go relacja Leszka Mazana.

Kiedy jesienią 1942 r. likwidacja sądeckiego getta stała się faktem — Stefan M., czeladnik zegarmistrzowski, wyręczający H. Dobrzańskiego w powinnościach konserwatora ratuszowego zegara — zdobył się na szaleńczy wyczyn, wprowadzając zza muru koleżankę z lat szkolnych, Bertę M. Dramatyczna ucieczka przed pościgiem niemieckiego patrolu rzuciła uciekinierów do ratuszowej wieży. Pod ratuszem stały posterunki żandarmerii, nad zegarem na wieżycie obserwacyjnej przechadzał się strażak, wypatrujący pożaru. Ukryta w pozycji leżącej pod mechanizmami zegara, Berta spędziła w niesamowitej kryjówce pół roku. Rytmiczna praca zegara, rozsadzająca czaszkę i szarpiąca napiętymi do granic wytrzymałości nerwami, dawała — o paradoksie — poczucie bezpieczeństwa. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby zegar nagle stanął, lub Stefanowi przytrafiło się jakieś nieszczęście?

„Są rzeczy, których się nie zapomina — proś: mezużykłej, koszmarnej wręcz sceny taniących wydarzeń, nieustannego tyłania zegara — pamiętam, że człowiek, który wprowadził mnie wtedy na

ratuszową wieżę, podpisał na siebie wstępek: śmieci. I nie tylko na siebie, ale i na swojego szefa i jego rodzinę”.

Dziś powiemy: historia zgola romantyczna z dopisanym przez życie happy endem — ale w czasach szaleńczego terroru i ludobójstwa miała ona inny wymiar, nosiła cechy bohaterstwa wyższej rangi.

Ratuszowy zegar wyszedł z wojny pokiereszowany — ale już 9 marca 1945 roku, za sprawą Henryka Dobrzańskiego głośnym biciem głosił mieszkańcom apoteozę życia... nowego życia.

Senior rodu melancholijnie przerzuca poźółkłe stronicie kroniki; wiele w niej własnoręcznych fotokopii dyplomów, regionalnych odznaczeń, wyróżnień, podziękowań.

Bo okazuje się, że poza pasją do zegarów — pan Henryk jest zapalonym fotografikiem i Nowy Sącz obfotografował ze wszystkich jego przystojnych stron. Głosząc ilustracjami i natchnionym słowem jego chwałę. Z miłością do miasta łączy żywe zainteresowania historią i archeologią. Zasużył się w Komisji Ochrony Zabytków PTTK, nie mówiąc już, że śladem ojca pisał owa godność radnego i podstarszego cechu. Brzmi to trochę gorzko — ale cóż robić — naważone serce zmusza do zwolnienia tempa pracy. Na szczęście dorośli synowie Zbigniew, Jan i Henryk są gotowi do startu w rodzinnej sztafecie — wraz z małżonką Marią wyręczając go w nawale zawodowej pracy. Wprawdzie imiennik dziadka, Jan, jest desygnowany na spadkobiercę firmy, ale i przed Zbigniewem i Henrykiem zegary też nie ukrywają żadnych tajemnic — chociaż najmłodszy Henryk wylamał się z rodzinnej tradycji, studiując w AWF.

W zegarmistrzowskiej karierze seniora Henryka doszedł jeszcze jeden tytuł do sławy — uruchomienie zegara o 3-metrowej średnicy na budynku uczelni w Gorzowie Wielkopolskim, przedsięwzięcie, którego nikt w Polsce nie chciał się podjąć. A już następne czekają zamówienia: przywrócenie do życia i dawnej świetności spoczywającego w lamusie zegara Biblioteki Jagiellońskiej. Potem, w kooperacji z „Nowomagiem”, chciałby wykonać i zawiesić na nowo wzniesionej wieży Państwowego Domu Dziecka w Nowym Sączu — wierną kopię zegara z Schönbrunn. I posłuchać niosącej się z ratuszowej wieży, hen ku brzegom Dunajca, tęsnej melodii sądeckiej z własnoręcznie wykonanego kuranta.



PROSZĘ O GŁOS

„Głupie“ drobiazgi

Od dwóch lat zaopatruję się w sklepie spożywczym tzw. „blaszaku” i od dwóch lat — przepaszam — flaki się we mnie przewracają, gdy obserwuję organizację pracy w owym sklepie. Na przykład pani sprzedająca ziemniaki schyla się do samej podłogi po każdy kartofel z osobna, a więc przeciętnie dziesięć skłonów na kilogram ziemniaków. Ładuje je do siatki, siatka nie chce stać na wadze, przewraca się, ziemniaki leca na podłogę, pani zbiera, siatka się chwieje itd. Trzeba koniecznie wezwać jakiegoś do-centa-konsultanta, aby coś na to zara-dził!

Wreszcie bezduszna materia poddaje się niezłomnej woli ludzkiej. Biorę jeszcze to oraz tamto i podchodzę do kasy. Pani kasjerka wyklada zawartość mo-je go koszyka na pulpit, jednocześnie wy-stukując ceny. Ja zaś jedną ręką wyju-muję z kieszeni pieniądze, drugą ręką wskażam zakupy z powrotem do koszy-ka, bo je przecież muszę jakoś zabrać. trzecią ręką szukam drobnych, bo pani kasjerka nie ma wydać; w czwartej ręce trzymam siatkę z ziemniakami. Szamocę się, pani kasjerka już obstukuje następ-nego klienta, ludzie z koleiki mnie popę-dzają itd. Każdy, kto w NRD kupował w sklepie spożywczym, widział, jak ka-sjerka przekłada po prostu zakupy z je-dnego koszyka do drugiego, a opróżnio-ny koszyk pozostaje dla następnego klienta. Wiele Szanowna Pani Kierow-niczko „blaszaka”, czy można by prze-nieść na nasz grunt owo genialne upro-szczenie?

Prawie każdy Czytelnik mógłby podać podobne przykłady inercji i myślowego lenistwa; każdego z nas otacza owe 1001 głupich drobiazgów, denerwujących, utrudniających życie — i łatwych do usu-nięcia bez milionowych inwestycji i uch-wała najwyższych władz. Dlaczegoż łat-wiej u nas wybudować nowy hotel, niż wyteplić karaluchy w starym? Dlaczego łatwiej zbudować pawilon handlowy, niż wyposażyć go w szufelkę do ziemnia-

ków? Czy kasjerka w sklepie koniecz-nie musi odprowadzać do banku całą kwotę, czy nie może zostawić bilonu na dzień następny?

Skutek taki, że ludzie wciąż psoczą. Zdenerwowanie z powodu głupich dro-biazków przesłania radość z wielkich o-signięć. Wciąż jeszcze załatwienie naj-prostszej sprawy zbyt często przypomina wyścig w workach albo wchodzenie po namydlonym słupie po ćwiartkę wódki i peto kielbasy (jak to pamiętam z pod-miejskich festynów) — tyle, że bez ra-dosnej atmosfery, jaka temu towarzy-szyła.

Bo u nas wiara w postęp, aby była ra-cjonalna, musi mieć niestety charakter wybiórczy. Mogę sobie wyobrazić „bla-szak” na każdym rogu, lecz trudno mi uwierzyć w poprawę organizacji pracy handlu.

ANTONI KROH

Sport to też zdrowie

Czas nie jest sprzyjający do upomi-nania się o inwestycje, zwłaszcza o in-westycje sportowe. A jednak jako pra-cownik ZNTK i równocześnie sympa-tyk sportu pragnę zwrócić uwagę, że dla zdrowia młodzieży, dla wypełnienia jej wolnego czasu godziwą rozrywką, a także ze względu na wychowawczą rolę sportu — nie możemy tego tematu odsuwać z pola widzenia.

W latach sześćdziesiątych mówiono: — Po co nam baseny, skoro wokół miasta są rzeki? Rezultat jest znany, wojewódzkie miasto nie ma żadnego kąpieliska.

W latach siedemdziesiątych nie zbu-dowaliśmy ani hali sportowej, ani lo-dowiska. W efekcie zmalała ilość sekcji sportowych w „Sandecji”, trwa emi-gracja zawodników do miast lepiej wy-posażonych w bazę. Czy można się te-mu dziwić? Czy jest to dowód, że nie prowadzi się prac wychowawczych wśród sportowców? Może tak, a może nie.

Trzeba bowiem wiedzieć, że w przed-e-dnia jubileuszu 70-lecia „Sandecja” nie ma świetlicy z prawdziwego zdarzenia. Spotkania odbywają się... na ławkach stojących wokół boiska.

Dobrze, że Limanowa, Nowy Targ, Gorlice dorobiły się hal sportowych. Pora teraz chyba na stolicę wojewódz-twa. Radziej spotykać będziemy mło-dzież w sali sądowej, jeżeli zadamy o baseny, boiska, wyciągi narciarskie. Słyszę, że jest dokumentacja tech-nicz-na basenów w osiedlu Millenium, na-tomiast nie znamy terminu rozpoczę-cia budowy. W bólach powstała koncepcja ośrodka socjalno-bytowego ZNTK, na który czekają nie tylko są-decy kolejarze.

Nie żałujmy również środków na wy-chowanie fizyczne w szkołach. Nowe szkoły powinny być budowane wraz z kompleksem obiektów sportowych. Chcemy przecież mieć zdrową młodzież, zdrowych obywateli, a nie pokolenie z krzywymi kręgosłupami.

Nowy Sącz nie jest już małym mia-stem powiatowym, więc trzeba upomi-nać się o jego harmonijny rozwój.

TADEUSZ ROSIEK

Pęksów Brzyzek

Jest w Zakopanem miejsce, które pra-wie każdy przybywający w te strony od-wiedza — to stary cmentarz przy ulicy Kościeliskiej, zwany Cmentarzem Zasłu-żonych, lub z góralską Pęksowym Brzy-zkiem.

(...) Zajrzałam tam w listopadowy dzień i znalazłam parę mogił tak skro-mnych, że nie zwracają na siebie uwag-i zwiedzających, choć kryją szczytki lu-dzi wybitnych. Niedaleko wejścia z pra-wej strony widnieją dwa spore głazy na zapadniętej mogile. Na jednym z blo-ków wyryto dziś już mało czytelne sło-wa: „Tadeusz Zwoliński, 1893 — 27. 11. 1965 kartograf, speleolog, wielki miłos-nik Tatr”. To wszystko prawda, ale nie-wiele osób wie, że tenże Tadeusz Zwo-

liński to „ojciec” polskiej speleologii au-tor — wspólnie z bratem Stefanem — świetnych przewodników po Tatrach i Zakopanem, a przede wszystkim autor wspaniałej mapy Tatr. Śmiało rzec moż-na, że do tej pory lepszej mapy Tatr nie opracowano! Dobrze by więc było jego mogilę uporządkować.

Nieco dalej, w pobliżu nagrobka ma-larki, Wandy Centil Tippenhauer, ona-trzonego pięknym tryptykiem, znajduje się skromny grób z prostym, drewnia-nym krzyżem i napisem: „Czesław Ska-wiński, 1890—1947, art.-malarz”. Drewnia-ny krzyż za parę lat zbutwieje i nikt nie będzie wiedział, że na tym miejscu pochowano zasłużonego dla Zakopan-go człowieka. Kim był Czesław Skawiński? Artystą malarzem? Otóż nie tylko, był także pedagogiem, wieloletnim kierow-nikiem szkoły zawodowej, prezesem Związku Artystów Polskich, zarówno w okresie międzywojennym, jak i zaraz po II wojnie. Należałby mu się więc także jakiś trwalszy pomnik.

W dalszej części cmentarza — żelazny krzyżyk, osadzony w kamieniu na mi-kroskopijnej mogile. Na kamieniu wy-ryto słowa: „Maciej Sieczka Gąsienica, przewod. tatr. ur. 3. 04. 1824 w Zak. zm. 25. 09. 1897”. Pochowano tu bodaj najslawniejszego przewodnika tatrzań-skiego, zdobywcę wielu szczytów, a przede wszystkim Młucha przed stu la-ty! Do dziś dnia nie umniejszą zna-czenia jego wyczynu, dokonanego bez użycia sprzętu taternickiego! Krzyżyk postawiono ze składek Bratniej Pomocy Przewodników, która nie dysponowała wówczas zbyt dużymi funduszami. Ale obecnie, gdy następcy Macieja doczekali się wspaniałych pomników, i jego imię należałoby jakoś upamiętnić, a przynaj-mniej ogrozić mogilkę.

Prawie naprzeciwko Sieczki, po dru-giej stronie alei widnieje grób ze skro-mnym napisem, niewiele wyjaśniają-cym: „Tadeusz Baczak, radny miasta, działacz kulturalny”. Z jego inicjatywy i za jego kierownictwa rozbudowana zo-stała Szkoła Podstawowa nr 1 na Wilcz-niku. W trudnych latach sześćdziesią-tych, latach „wyżu demograficznego”, gdy na Wilcznik chodziło tysiąc dzieci, budowano „wielką” szkołę nie przery-



PROSZĘ O GŁOS

wając ani na jeden dzień nauki. Z inicjatywy tegoż kierownika podjęto równocześnie budowę przyszłolnego stadionu, jakże potrzebnego dla zakopiańskiej młodzieży! Budowano go sposobem gospodarczym, przy bardzo skromnych środkach finansowych, za to z wielkim zapałem i poświęceniem! Również mało kto pamięta, że Tadeusz Baczak stworzył dziecięcy zespół regionalny, którego występy cieszyły się dużym powodzeniem.

Worawdzie przy wejściu na cmentarz umieszczono napis „Zakopane pamięta”, ale... Należałoby się postarać o zapewne zbyt wielkie, kwoty na zaopiekowanie się opisanymi mogiłami.

ZOFIA STECKA

Może wiersze?

Serdecznie gratuluję „Dunajca”. Czy magazyn przyjmie na swoje łamy poezję? Pozwalam sobie przekazać Panu wiersze, których autorem jest lekarz, DR JERZY MASIOR. Spotkałam się z nim jeszcze w czasach uczniowskich, przedwojennych. Od lat kilkunastu spotykamy się na terenie działalności PTTK-owskiej, gdzie Doktor od lat prowadzi Yacht-Klub PTTK, a także sekretarzuje Zarządowi.

W międzyczasie dr Jerzy Masior przeszedł szlak do Berlina w mundurze żołnierskim, później studia medyczne. Wrocław, Gorlice i znów powrót do Sącza. Obecnie przebywa w Iraku, w Khor-al Zubair, jako lekarz polskiej ekipy, budującej hutę.

W początkach stycznia odbył się w naszym Muzeum wieczór jego poezji, przyjętej dobrze przez słuchaczy. Za widza dra Jerzego Masiora pozwalam sobie przekazać panu kilka utworów Doktora. Może łączące się z naszą ziemią, znajdują w pana oczach życzliwą ocenę, a urodę Sadecczyzny podkreślą w redagowanym przez pana magazynie.

IRENA STYCZYŃSKA

JERZY MASIOR

Pejzaż

Gdy wezmę kiedyś pędzel
i zacznę malowanie —
będzie to chmur i rzeki
barwne opisanie.

Namaluję twój pejzaż ziemio dunajcowa —
i będziesz jak jarzębina, zielono-jarzębinowa.
Świerk splączę z sosną, z Dunajcem jezioro,
rozjaśnię twój horyzont brzezinową korą.

Stare mury skarpami opadają w wodę...
Domaluję ci kwiaty: kaczeńce strumienne
i buki od Kicarza jesienne — ezerwienne
i zamknę w tym pejzażu twą wielką urodę.

Sosna

Rośniesz sosno w słońcu i na wiatr,
płyniesz pienna w swój zielony świat.

Scieleś sosno dla konwalii cień,
w mgłach się budzisz siwych, płoniesz w dzień.

Mileczysz sosno w południowy czas,
szumisz sobie kiedy szumi las.

Placzesz sosno bursztynowe lzy,
śnisz po nocach księżycowe any.

♦ Julian KAWALEC (Rabka), Tadeusz STAICH (Zakopane), Wiesław A. WOJCIK (Centralna Biblioteka Górską PTTK), Józef BIENIEK (Nowy Sącz), Jerzy WIDEL („Głos ZNTK”), Franciszek ŁOJAS-KOSIA (Foronin) — chwała profil „Dunajca”, dodają otuchy, podpowiadają ciekawe tematy.

♦ Zaprośli nas: Tatrzańskie Towarzystwo Kulturalne, Polski Związek Chórów i Orkiestr, Koło Przyjaciół Dzieci przy chórze „Wierchy” w Zakopanem, dyrektor Państwowego Zakładu Wychowawczego w Kobylance, Jan HALUCH.

♦ Nie odpowiedziało na krytykę („Oczyszczalnia rdzewieje”) Biuro Planowania Przestrzennego, Architektury i Nadzoru Budowlanego w Nowym Sączu. Długa nazwa — długi termin dla namysłu?

Listy
do „Dunajca”

♦ Nadal napływają listy, spowodowane opowiadaniem JULIANA KAWALCA. Oto jeden z nich: Za pośrednictwem Waszej Redakcji chciałbym złożyć szczerze podziękowanie Julianowi Kawalcowi za opowiadanie „Rekord świata”. Dziękuję za czuły i subtelnie podjęty temat losu ludzi jesienno-wiecznego wieku. Dziękuję także Waszej Redakcji za zorganizowanie humanitarnej akcji umiilenia przykrych i smutnej niejednokrotnie starości.

Jestem człowiekiem młodym (22 lata), jednakże doskonale rozumiem cierpienia ludzi starszych, opuszczonych i dezradnych. Wiem także, że niewiele trzeba, by ludzie ci poczuli się potrzebni, szczęśliwi.

Opowiadanie J. Kawalca skłoniło mnie do refleksji, w wyniku której napisałem wiersz pt. „Stara kobieta”. Pragnę przeto dedykować go Julianowi Kawalcowi, Waszej Redakcji i wszystkim tym, którzy przyczynią się do uprzyjemnienia — choćby w najmniejszym stopniu — smutnej starości i jej przykrych lat.

Pozostaje z głębokim szacunkiem
KAROL STROJNY

Red. Pański wiersz zachowujemy do ewentualnego wykorzystania w przyszłości.



REPORTERSKIE WIZYTY

Kazimierz Bryndza

Nie tylko rękami...

Zyją i pracują w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Nowym Sączu ludzie, którzy pamiętają nie tak znów odległe czasy, gdy do roboty wystarczały: ciężki młot i bicepsy atlety. Spróbuj dzisiaj brać na siłę termostat, układ automatycznej regulacji mocy, agregat prądowców, czy nawet zwykłą prądnicę, nie mówiąc już o sterowaniu elektrycznym w lokomotywie. Trzeba „głównować”. I to dobrze. Nie jest więc przypadkiem, że kilkunastu ludzi, którzy do Zakładów przyszedli po zawodówce, teraz przed nazwiskiem pisze: MGR INŻ.

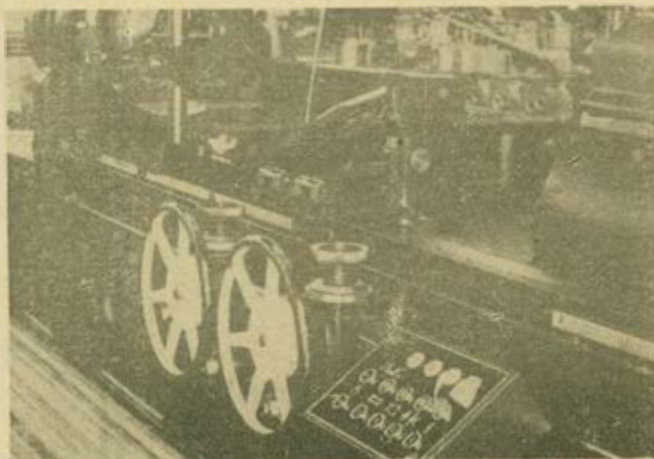
JACEK KOŚCISZ pracę rozpoczął w 1970 r., tuż po ukończeniu „Elektryka”. Po 6 latach referentowania poszedł na całonocny egzamin wstępny na Politechnikę Krakowską zdał za pierwszym podejściem. Teraz jest studentem osiemnastego roku. Rytm tygodnia mistrza produkcji napraw średnich i głównych „Wagonów”: po sobotnio-niedzielnej dawce 14 godzin wykładów w przedmiatach i wtorek zupełny luz. Ostro do nauki zabiera się w środę. „Cierpiętnikiem nie jestem, wszystkiego odmówić sobie nie można. Grunt, że to już z górki. Najgorsze są rysunki i wykresy, wiedza tamą nie jest”.

Kolega Kościsz, ANDRZEJ STEPIEŃ, choć też na ostatnim roku PK — ślusarki nie rzucił. „Rzemieślnik ma spokojniejszą głowę do nauki” — zwierza się przed kierownikiem Wydziału.

Odwolajmy się do statystyki: studia wyższe kontynuuje 40 pracowników, naukę w szkołach średnich różnych typów 161 osób, o tytuły mistrzów dyplomowanych ubiega się 20 pracowników, edukacją ekonomiczną objęto 400 osób, dzienniczek Warsztatu Szkolenia Uczniów ma 346 pozycji. Zrezygnujmy z dodawania, aby pokazać w tym miejscu, że co 4. pracownik ZNTK ma wykształcenie co najmniej średnie. Jakiś kto chce, niech liczy, ale to wysoki odsetek. Skąd ten urodzaj na uczących się? Cóż, um,

a może zwykła chęć zaimponowania otoczeniu? Nie z tych rzeczy. To zyciowa konieczność.

Zasiegnijmy opinii tych, co ZNTK znają od podszewki od paru dziesięcioleci. STANISŁAW REGIEC, WŁADYSŁAW ZIEMBOWICZ tak dzielą etapy dziejowe ZNTK: *Przez 18 lat*



Fot. WŁADYSŁAW SZAFRAN

po wojnie „tłukliśmy” co popadnie — lokomotywy austriackie, amerykańskie, niemieckie, węgierskie — ale wszystkie z metryką sprzed 30 i więcej lat. To była prawie całkowicie zabawa. Wczorajszemu pasterzowi ociec wystarczył 3 miesiące terminowania u dobrego „Mikołaja”, jak nazywano mistrzów, by poradził sobie z prostymi operacjami przy „chuchci”.

Nadszedł 1963 r. i Uchwała Rady Ministrów typująca ZNTK Nowy Sącz do naprawy taboru spalinowego średniej mocy. To był pierwszy wysoki próg, a drugi stopień wtajemniczenia. Wtedy właśnie przyjęła się „moda” masowego podnoszenia kwalifikacji. Łansowano zgodne z prawdą zresztą hasło: „przypu-

dzies do nas po podstawówce — zostaniesz inżynierem”. Kto miał dość sił, ten skorzystał. Nie wyłączając kadry kierowniczej. Przy spalinówkach zawód elektryka poszedł w cenę, a jego akcje stale rosły, bo oto 27 września 1979 r. — następny próg: Zjednoczenie ZNTK zawiązało dla Nowego Sącza założenia techniczno-ekonomiczne na budowę Zakładu Części Zamiennych. Krótko: inwestycja za 1 mld 546 mln zł ma być oddana do użytku w 30-miesięcznym cyklu. Produkcja 5.735 t różnych (2.495 pozycji) części zamiennych o wartości 1 mld 175 mln zł. Zatrudnienie — 1.500 osób.

„Kadry” już dzisiaj wołają głośno: Punkt Konsultacyjny PK winien utworzyć nowe kierunki kształcenia — obróbki skrawaniem, obróbki

prawa spalinowych pojazdów trakcyjnych” młodzież pcha się do drzwi i oknami, ale mało kto myśli o zrobieniu kariery w ZNTK. Wystarczy przeanalizować politykę płac, aby dociec, co w tym jest. Na „kolei” świadczenia są jednakowe dla wszystkich niemal, w placach już inaczej bywa.

Jak rzecz ma się w przypadku absolwentów zawodówki? Słup światła na ten problem rzucił drużynowy Odlewni, MIECZYSLAW WASOWICZ, jeden z pięciu braci, którzy „zakotwiczyli” w ZNTK. On sam jeszcze w 1941 r. pierwszy raz przeszedł przez bramę wejściową — zdążył dochować się dorosłości dzieci, spędzić w pociągu na linii Męcina.

Nowy Sącz grubo ponad milion minut: „W Odlewni pracą b. ciężką, tego podkreślać chyba nie muszę. Stałka za godzinę w mojej, VIII grupie 19 zł z groszami. Mimo to młodzi uciekają. Klasa odlewników w WSU liczyła 13 uczniów. Po kilku miesiącach pozostało 2. Jeden Tadek Blicharz zawiązał się i Technikum Kolejowe nawet kontynuacji. Ale to jeden, a nas starszych ubywa. Odechodzą na renty, emerytury, albo po prostu zmieniają pracę. To fakt, odlewnikowi trzeba się urodzić”.

W innych specjalnościach nie jest aż tak źle, ale dobrze też nie. Czytamy w materiałach na Konferencję Samorządu Robotniczego, która przyjęła plan produkcji na br.: „Wobec określonych trudności ważne niezmienne są: przygotowanie techniczne, moc produkcyjna i kwalifikacje (podkr. red.)” „alopii”. Otoż to. Lokomotywa gdy ją rozebrać na czynniki pierwsze, kryje w sobie 2—4 tysiące części. Taka „Tomasz”, jak ochrzczone lokomotywę SM-48 (i.200 KM), nawet dla wziętego elektronika to istny labirynt. Tutaj naprawdę potrzeba fachowości, wiedzy i smykałki.

Od stulecia w Nowym Sączu zwykło się uważać, że kolejarza cechuje akuratałość w pracy, co robi, to robi solidnie. Takie nauki młodym wpajał starszy mistrzowie, takich zasad trzymają się do dziś. Przy jakiej okazji dyrektor naczelny, WŁADYSŁAW STENDERA, stwierdził, że wykonując najdrobniejszą nawet czynność, pracujący dla dobra kolejniaków. Warto przypomnieć te myśli w obliczu nowej inwestycji, 3 lata miną jak z bicia strzały, a Zakład Części Zamiennych to 1.500 stanowisk pracy z nowoczesnymi maszynami. Tam nie będzie miejsca dla ludzi przypadkowych. Już teraz trzeba się dobrze rozglądać za kadrą inżynierską (bo ta setka zatrudnionych w br. wszystkich nowych stanowisk nie obejmuje) oraz za technikami i robotnikami kwalifikowanymi. Komu jak komu, ale kolejarzom przypominać nie trzeba, że są pociągi, na które się spóźnić nie wolno.

Gdy opowiadamy o przeszłości nowosądeckiej ziemi, najchętniej powołujemy się na wybitnych ludzi kultury i sztuki, którzy rozślawiali piękno gór, którzy byli pierwszymi propagatorami turystyki, wypoczynku, lecznictwa uzdrowiskowego. Ale gdy zechcemy opowiadać o przeszłości Gorlic, musimy powoływać się na ludzi, którzy tę ziemię i jej skarby wiązali z pracą.

Dolina rzeki Ropy „od zawsze” była znana z obfitości źródeł oleju skalnego. Nazwa rzeki ma więc pełne uzasadnienie, podobnie jak nazwy osad i wiosek — Ropa, Ropice, Ropki, Ropisko. Najstarsza znana wzmianka pisana w 1535 roku mówi o Sewerynie Bonerze — podskarbie króla Zygmunta Starego, burgrabiego krakowskim i staroście bieckim, który poszukiwał złota w Ropie pod górą Chelm. Znalazł zgola inne złoto, o czym mówi rymowanka powtarzana wśród ludu: „Ten co w Ropie złota szukał — smółą się optukał”. W szesnastym stuleciu nie wiadomo jeszcze, co z ową „smółką” robić, ale w połowie ubiegłego wieku do Kobylanki sprowadzano już górników z Prus do kopania asfaltu i oleju skalnego.

W dziewiętnastym wieku wiadano, jak spożytkować skarby gorlickiej ziemi. Ignacy Łukasiewicz objął w 1858 roku aptekę w Gorlicach, by być jak najbliższej ropy naftowej. Destylacja ropy, wykorzystywanie nafty do oświetlania domostw tak mocno zaprzętnęły uwagę Łukasiewicza, że dziś nie wiadomo, czy aby tę swoją gorlicką aptekę prowadził dobrze. Na pewno tak, bo wspomina się jego społeczniczkowskie działania w Gorlicach, także w do-

bie plagi chorób. Od czasów Ignacego Łukasiewicza Gorlice były ośrodkiem przemysłu naftowego, a od 1882 roku w tym mieście „kazywało się pierwsze czasopismo fachowe „Gorlik”, poświęcone „prawom przemysłu naftowego”. Przynajmniej taka wiadomość: w 1900 roku w 17. rocznicę powstania gorlickiego działu 56 kopalni ropy naftowej i 14 destylatori.

Ropa decydowała o tym, co miały Gorlice przeżywać różne katastrofy, były niebezpieczne dla

Kazimierz Strachanowski

GORLICE

rami, nie omijały miasta wojny — „wschodnim Verdun” nazwano miasto nad Ropą po wielkiej bitwie w latach 1914—15. Niszczono powstawało na nowo, bo miało ropę. Współczesne Gorlice również są wyznaczone przez przemysł. Tym się zawsze będą różniły Gorlice od Krynic, Rabki, Zakopanego, Szczytnicy-Koroscielna.

Jakie są Gorlice u progu 1980 roku? Trudno nie odwołać się do statystyk. Węg w mieście nad Ropą mieszka 22 tysiące ludzi. W gospodarce uspołecznionej pracuje 18 tysięcy osób — z tego aż 12 tysięcy w przemyśle, „Glinik”, „ASPA”, „Małozol”, „Forest”, Rafineria. Imiona fabryk i przed-



Fot. JERZY RESZCZYŃSKI

Stanisław Śmierciak

DZIECI — DZIECIOM

Herb Rabki: ubrane w góralski kapelusz promienne słońeczko, w połowie mające roześmianą buzię dziecka.

To gorczańskie miasto posiada unikalny mikroklimat, źródła wód mineralnych i nowoczesną bazę leczniczą, ale nie ma odpowiednich obiektów rekreacyjno-zabawowych. Stąd też w Komendzie Nowosądeckiej Chorągwi ZHP zrodził się pomysł harcerskiej pomocy dla Rabki — wielkiej, kilkuletniej, ogólnopolskiej akcji „DZIECI — DZIECIOM”. Jej inauguracja nastąpiła w roku minionym.

Mówi komendant rabczańskiego hufca ZHP, harcemistrz TADEUSZ JAGOSZ:

— 400 harcerzy i harcerzy z województwa nowosądeckiego pracowało przy budowie przedszkola na osiedlu Orkana, pomagało w przygotowaniu do oddania bloków mieszkalnych na osiedlu przy ul. Sąddeckiej, organizowało czynny wypoczynek młodych kuracjuszy, finalizowało budowę zaplecza powstałego nieco wcześniej „miasteczka komunikacyjnego”, pomagało przy remontach sanatoriów, budowało boisko sportowe oraz place gier i zabaw.

W dwa dni po zakończeniu pierwszego etapu harcerskiej akcji, wstępnej oceny dokonuje z-ca naczelnika miasta i gminy Rabka, JANUSZ LEŚNIAK:

— Okazuje się, że od młodzieży możemy oczekiwać więcej niż zakładaliśmy. Przełomiliśmy się o konieczności zwrócenia bacznej uwagi na przygotowanie frontu robót. Muszą to być przedsięwzięcia całkowicie trafione. Wiemy, że trzeba atrakcyjnymi elementami plastycznymi zaakcentować miejsca pracy harcerzy. Musimy — a wbrew pozorom nie jest to łatwe — znaleźć odpowiednie miejsca obozowania tak licznej grupy młodzieży. Przewodnicząca utworzonej podczas zeszłorocznych wakacji Harcerskiej Ra-

dy Miasta Rabki, drużna EWA JANIK, piętego września 1979 roku ze swej rodzinnej Kobylanki koło Gorlic pisze list do komendanta Nowosądeckiej Chorągwi ZHP, hm. PL ANDRZEJA GŁUCA:

„Akcja pilotażowa zdała egzamin i proponuję, aby ci, którzy w niej wzięli udział, przekazali swoim koleżankom i kolegom z poszczególnych szczebli, jak ten obóz wyglądał, co robiliśmy, by na przyszłość każdy wiedział, co go czeka w Rabce. Praca, w stosunku do naszych sił i ambicji, okazała się za mała. Harcerzy stać na więcej. Chcielibyśmy po sobie zostawić trwałą, widoczną ślad, abyśmy mogli powiedzieć, że to wszystko to nasza zasługa. Na pewno znajdzie się wiele takich prac w Rabce, ale potrzebny jest plan, odpowiedni materiał i człowiek, który potrafiłby pokierować pracą. Trzeba również rozstrzygnąć sprawy transportu, który w pilotażowym roku dość stanowił wielki problem, bo miejsca pracy są oddalone o kilka kilometrów od obozowisk. Koniecznie trzeba też ujednolicić funkcjonowanie obozowej kuchni — musi ona wydawać posiłki o wiele szybciej”.

Wystąpienie I sekretarza Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR w Rabce, JÓZEFY MOSKALOWEJ, na posiedzeniu Harcerskiej Rady Miasta Rabki w dniu 2 stycznia 1980 roku:

— W akcji pilotażowej nie unikniemy błędów, ale na nich przecież najlepiej się uczymy. Wiemy już, że potrzebny jest jeden duży front robót, na którym prace od początku do końca można wykonać w czasie trwania jednej akcji. Dla budowniczych będzie to satysfakcja, a dla uzdrowiska widoczna korzyść. Już teraz przystąpiono do opracowania dokumentacji na zagospodarowanie ciągu spacerowo-wypoczynkowego wzdłuż potoku Słonka. Będzie on wyposażony w wiele bajecznych w kształtach i kolorach urządzeń do zabaw. Chcemy, by akcja roku osiemdziesiątego zakończyła się przekazaniem do użytku zagospodarowanych terenów nad Słonką.

Akcja ma trwać pięć lat. Chcemy, aby jej uczestnicy na trwałe związali się z naszym miastem. Stąd propozycja nagradzania trzykrotnych uczestników akcji specjalną odznaką, a nawet honorowym obywatelstwem dziecięcego uzdrowiska.



Fot. Autor

sistbiornostw doskonale znanych w całym kraju, ba — daleko w świecie. Wszystkie gorlickie zakłady produkcyjne — niektóre pracują na konto bilansu ekonomicznego woj. kroleńskiego — wytwarzają dobrą materiałnie o rocznej wartości 7,5 miliarda złotych. Ześlawimy to z 20 miliardami wartości rocznej produkcji całego woj. nowosądeckiego, by uzasadnić owe dziennikarskie określenia, że Gorlice są pierwszym przemysłem ośrodkiem w Nowosądeckiem.

nagrody, wyrazy uznania, zaszczyty. O randze tej fabryki świadczyć może to, że ledwo w ubiegłym roku zakończono budowę nowoczesnej kuźni, już powstaje kolejny duży wydział zakładu metalurgicznego — odlewnia staliwa. „Glinik” przygotowuje się do pełnienia roli wiodącej w dużym kombinacie maszyn wiertniczych i górniczych. Równie dobre perspektywy otwierają się przed innymi gorlickimi fabrykami. Wielomiliardowe nakłady inwestycyjne przeobrażą w latach osiemdziesiątych ten przemysłowy ośrodek.

Czy Gorlicom dobrze w roli nowosądeckiego potentata przemysłowego? Na pewno tak, choć problemów nie brakuje. Gospodarze miasta nie ukrywają, iż Gorlice zawdzięczają wiele przemysłowi. Tu zabył się i więcej niż w innych miastach województwa powstawało mieszkań. W poprzedniej 5-lacie 900, w bieżącej planowano 1200, a wybudowano już 1500. Ale też skala potrzeb nad Ropą większa. Do niedawna zazdrośczone gorliczanom, że na mieszkanie czekają 4—5 lat, a teraz mieszkańcy Gorlic skarżą się, że okres oczekiwania wydłużył się do 8—10 lat. Do 1985 r. powinno przybyć 1700 mieszkań w budownictwie społecznym. Czy to dużo, skoro w spółdzielni mieszkaniowej ustawiła się kolejka licząca dwa tysiące rodzin, a w zakładach pracy zarejestrowano tysiąc oczekujących? Dobrze, że Gorlice mają własną poligonową wytwórną elementów prefabrykowanych i przygotowane tereny pod budownictwo mieszkaniowe. Czas nie stoi tutaj w miejscu, gospodarze miasta nad Ropą dysponują planem perspektywicznym, w którym jest mowa o 35 tysiącach mieszkańców.

Już teraz Gorlice przygotowują się do wykonania bardzo szerokiego programu inwestycyjnego, który z jednej strony daje gwarancję dla dalszego rozwoju potencjału przemysłowego — myślenie o za-

kładzie zbiorników ciśnieniowych „Aspy”, o odlewni staliwa „Glinika” — z drugiej zaś program ten zapewni stałym mieszkańcom zdecydowaną poprawę warunków życia. Właśnie rozpoczyna działalność szpital rejonowy, na razie o 353 łóżkach, w niedalekiej przyszłości — około 1984 roku — będzie dysponował gorlicka służba zdrowia 700 łóżkami szpitalnymi. Nowe osiedla mieszkaniowe otrzymają pewilony handlowo-usługowe, przychodnie zdrowia itd. Z pewnością później badacze dziejów miasta będą z uznaniem wypowiadali się o tym, że w Gorlicach udawały się sprawy ważne i dla poszczególnych zakładów, i dla miasta. To przecież są znane przykłady, ale warto wspomnieć o elektrociepłowni pracującej dla przemysłu i miasta, o przemysłowej służbie zdrowia, o obiektach sportowych — z zazdrością oglądanych choćby przez sąsiadów, o gorlickiej „fabryce domów”.

Gospodarze miasta zastanawiają się nad rozwiązaniem wcale niełatwego problemu. Rozwiązanie jest bowiem w Gorlicach przemysł o zdecydowanie męskim charakterze, tzn. przemysł przeznaczony dla silnych, odważnych i odpornych mężczyzn. Ale przecież są kobiety — ich żony, córki. Co dla nich? Stworzono zakład pracy z myślą o kobietach — oddział Nowotaraskich Zakładów Przemysłu Skórzanego „Podhale”. Na dłuższą metę ten zakład nie wystarczy. Ojcom miasta marzy się, na przykład, zakład urządzeń precyzyjnych, w którym gorlickanki znalazłyby atrakcyjne zajęcie.

Kiedy spytałem Stanisława Grybosia — I sekretarza KM PZPR, przewodniczącego MRN — o to, jak charakteryzuje mieszkańców Gorlic, na pierwszym miejscu wymienił pracowitość. Trudno temu zaprzeczyć, trudno też nie zauważyć tego, co w minionym roku zostało nagrodzone przez Radę Państwa — właśnie praca mieszkańców miasta nad Ropą legła u podstaw decyzji o nadaniu Gorlicom zaszczytnego Orderu Sztandaru Pracy.

1980

’ Czy za tymi zakładami również stoi ropa? Na pewno tak. Zbliżająca się w swej historii do stu-lecia Fabryka Maszyn Wiertniczych i Górniczych „Glinik”, od zarania pracowała dla przemysłu metalowego. Obecnie dominują tutaj maszyny i urządzenia dla górnictwa, ale przecież nikt poza „Glinikiem” nie wytwarza wiertnic, i to takich, które mogą drążyć w ziemi otwory do sześciu kilometrów. Polskie górnictwo natomiast czeka wciąż na nowe i doskonalsze zmechanizowane obudowy osłowne. „Glinik” zna cenę postępu, wie też, co to dobra robota. Za sprawą ludzi z tej fabryki od wielu lat mieszkańcom woj. nowosądeckiego jest przyjemnie, bo raz po raz na „Glinik” syją się

REPORTERSKIE WIZYTY



Mamy na Podhalu jubileusz, jakiego tu jeszcze nie było: jubileusz Nowotarskich Zakładów Przemysłu Skórzanego, obchodzących w tym roku swe srebrne gody. Cwierć wieku to niewiele. Są przecież przedsiębiorstwa w naszym województwie, które przekroczyły już sto lat pracy — jak np. ZNTK w Nowym Sączu. Czemu więc przypisujemy w NZPS „PODHALE” tak dużą wagę do tego jubileuszu?

Kazimierz Wróbel

SREBRNE GODY

Kraj wchodził w etap wielkiej rozbudowy i rozwoju przemysłu. Ramy tego rozwoju nakreślono na pamiętnym Zjeździe Partii w 1948 r. Starzy działacze partyjni Nowego Targu są nawet skłonni twierdzić, że to właśnie podczas Zjazdu zapadła decyzja o budowie Nowotarskich Zakładów. Reporter nie znalazł nigdzie potwierdzenia tego, jednak faktem jest, iż tuż po Zjeździe, kiedy Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego zajęła się przygotowaniem planu rozwoju przemysłowego kraju — jej uwagę skupiło także PODHALE, najpiękniejszy i najbardziej region przedwiośniowej Polski, skąd ludzie za chlebem wędrowali za wielką wodę i bliżej, gdzie się dało.

Pierwotne założenia kombinatu oraz jego lokalizacja zostały ustalone 19 maja 1950 r. Uchwała Rady Ministrów z 14 grudnia 1953 r. zatwierdziła budowę Nowotarskich Zakładów Obuwia i włączyła do planu inwestycyjnego na 1954 rok. W tym samym roku rozpoczęto budowę i szkolenie kadr dla zakładu.

W nowotarskim Borze rodził się kombinat, na który czekało całe PODHALE, czekali ludzie z odległych górskich wiosek z nadzieją na stałą pracę, dobry zarobek — na społeczny awans.

Czekało na ten kombinat i miasto Nowy Targ, które choć dumnie i zadziornie zwało się stolicą PODHAŁA, było wówczas miastem bez większych perspektyw, miastem — przy przystanku, które omija się w drodze ku góróm.

Wspomina jeden z najstarszych pracowników naszych zakładów, p. CZUBERNAT: — To ja ścinałem pierwsze drzewo w nowotarskim borze pod budowę kombinatu Sękierą, bo pilarek wówczas nie było. Ale każdy górak umie pracować sękierą. Halę nr 45 budowaliśmy jako pierwszy obiekt. — Wie pan jak robiliśmy wykopy? Pługiem, góralskim pługiem zaprzęganym w parę koni, bo jeden by nie uciągnął. Brało się wielkie skiby, które następnie ciągli ludzie łopatami i wrzucali na góralskie furki. Z ziemi z tych wykopów nad Czarnym Dunajcem wyplintowaliśmy kawał nieużytków: stot tam dziś i ho-

tel, i zespół szkół kombinatu, basen i internat...

Mówi STANISŁAW KŁOS: Mogę powiedzieć, że byłem pierwszym pracownikiem kombinatu w budowie i potwierdzę to legitymacją pracowniczą Nr 1. Byłem wówczas kierownikiem do spraw inwestycji. Nadzorowałem powierzone mi obiekty i organizowałem w nich pracę. Na wprost dyrekcji mieszczą się jeszcze dziś baraki: to ja je tam postawiłem. Była tu przed 25 laty dyrekcja budowy kombinatu i dyrekcja NZO. Tam miał swój gabinet dyrektor

naczelny i tam też miał swe pierwsze służbowe mieszkanie. Ja tam także miałem swój pokój.

Ludzie wówczas na piechotę przychodzili pracować. Nie liczyli godzin, kilometrów, ale liczyli na szansę stałej pracy. Pewnego dnia zgłosił się kolejarz, biedny, starszy człowiek, któremu wypadło wypuścić chudy zagon znajdujący się na terenie budowy: — Nie chcę pieniędzy za to pole, które trzymałem dla dzieci, ale skoro daję wam je za darmo — dajcie dzieciom w zamian pracę.

Dziś po 25 latach nie pamiętam nazwiska tego kolejarza, ale może jego dzieci się odezwą, bo na pewno już ich drugie pokolenie pracuje i je chleb kombinacki.

*

Pierwszą parę butów dumnie niesiono w pochodzie 1-Majowym. Dziesięciomilionowa długo stała w gablocie przed kombinatem jak pomnik nowotarskich szewców. Stumilionowa jest jeszcze dziś w komitecie zakładowym partii. Każdy rok dokłada się do tego dorobku średnio dziewięcioma mln par, a dzięki temu uzbierało się już ok. 180 mln par obuwia wysłanego niemal do wszystkich zakątków świata i na rynek krajowy. NZPS — to przecież największy krajowy producent obuwia. Zawód szewca towarzyszył narodzinom Nowego Targu, założonego przez króla Kazimierza Wielkiego. Kombinackie, szewskie tradycje liczą więc sobie wieki stuleci i gdyby tak dobrze poszperać, kto wie, czy do 25-lecia pracy NZPS nie dałoby się „dowasować” i jakiejś innej starszej rocznicy.

*

Pierwsze bloki mieszkalne zbudowano w Nowym Targu w latach 1955—60. Są to prezentujące się jeszcze dziś okazałe bloki osiedla Świerczewskiego. Potem następuje budowa osiedla BOR, które też nie rozwiązało potrzeb mieszkaniowych zakładów. Kombinaty inicjuje więc budownictwo spółdzielcze. Zbudowano hotele robotnicze, przyzakładową szkołę, żłobki i przedszkola, ZEUDOWANO, PRZEMYŚLOWE PODSTAWY ROZWOJU ZAKŁADU, JEGO ZAŁOGI, pchnięto do przodu miasto, które szybko zaczęło nadrobić swe galicyjskie i międzywojenne zaniedbania.

W podhaleńskie wioski płynęły coraz lepsze pieniądze z pracy w kombinacie. — Kiedy przyszedłem do zakładu — wspomina jeden z weteranów kombinackich — moja pierwsza pensja wynosiła 780 zł. Gdy odchodziłem na emeryturę miałem 5300 zł. W roku jubileuszu jest to zaledwie średnia płaca kombinacka.

Lata pracy, mierzone wysiłkiem ludzi, wzrostem zarobków, rozwojem miasta, przemianami społecznymi w regionie. Jakże to zliczyć, jak przedstawić, by czegoś nie pominąć, nie przeoczyć. Kultura i hokej, wczasy i wypoczynek we własnych ośrodkach, kapela regionalna i orkiestra, zespoły dziecięce, kółka zainteresowań i wiele, wiele medali, nagród, wyróżnień — składają się na dorobek Nowotarskich Zakładów Przemysłu Skórzanego „Podhale”. 25 lat to tak niewiele w historii regionu, w historii miasta, w historii Podhala. Ale zmiany, jakie się tu dokonały, miały swą przyczynę, swe społeczne drożdże.

Tymi drożdżami — były właśnie Nowotarskie Zakłady Przemysłu Skórzanego „Podhale”.



Zdjęcia: JOZEF BROS

Pomysł narodził się z górą ćwierć wieku temu w kręgu pracowników i przyjaciół Muzeum im. Władysława Orkana. Z końcem lat pięćdziesiątych, po szeregu narad i konsultacji, w których uczestniczyli m. in. prof. TADEUSZ SEWERYN i dyrektor JULIUSZ ZBOROWSKI — legendarny gazda na Muzeum Tatrzańskim, zarysowano projekt Centralnego Muzeum Polskiej Zabawki Ludowej. Rzecz jasna — w Rabce, uzdrowisku dziecięcym.

Pomysł, mimo iż był nowatorski i rodziców chrzestnych miał znakomitych, jakoś nie mógł znaleźć mecenasów i na czas jakiś został odłożony.

Głośno zrobiło się wokół niego w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy to zaistniało po reformie administracyjnej województwa nowosądeckiego. Okazało się, że choć lata szparko biegają, pomysł jest w dalszym ciągu odkrywczy, nowatorski, słowem — nawet rejestry należnych mu komplementów nie wymaga żadnej korekty. Muzeum zabawki ludowej dotąd w Polsce nie było, a zasób teoretycznej wiedzy o przedmiocie jak był — tak jest nader ubogi. Nadal niemal nic nie wiemy np. o funkcji, jaką zabawki spełniały w kulturze ludowej, w kształtowaniu ludzkiej wyobraźni i wrażliwości. Choć zabawki ludowe znajdują się w większości muzeów, mających zbiory etnograficzne — nigdzie nie zgromadzono większego, jednolitego zbioru z tej dziedziny. Tak się jakoś składa, że i w zbiorach muzealnych, i w literaturze naukowej zabawka występuje przy sztuce ludowej niejako w charakterze produktu ubocznego. Zgola odwrotnie jak w życiu.

Bo w życiu — o czym wie i pamięta mniej więcej 3/4 dorosłych Polaków — niemal podobny odsetek współczesnej polskiej inteligencji — zabawka to był cały świat marzeń, magii i wielkich miłości w życiu wiejskiego dziecka. Tracze, kury dziobiące ziarno, drewniane motyle i ptaki osadzone na kółeczkach z patykami do popychania, trzepocące skrzydłami z miłym sercu łomotem, drewniane pajace na sznurku, drewniane koniki w wozach, jako też wozy bez koni: miniaturowe fiaszki, bryczki; kogutki-gwidzki. Najstarsi pamiętają jeszcze drewniane rowery, a wszystkie panie chwiliły się kiedyś lalkami. Wiejskie lalki wprowadziły nie zamysł oczu i nie miały kunsztownie wymodelowanych fryzur, ale nie brakło im urody, były rozmaite, a przede wszystkim — można je było polubić.

Projekt rabczański był pierwszym systematyzującym to wszystko, stwierdzającym, że i ten rozdział w życiu człowieka wart jest muzealnej konsekracji.

Gdy ponownie zaczęto mówić o muzeum zabawki — został opracowany projekt i założenia tej placówki. W projekcie, dotyczącym ekspozycji uwzględniono dwa fundamentalne źródła inspiracji zabawki ludowej: zabawka jako ilustracja pracy i zabawka jako ilustracja przyrody. Ale to nie wszystko: muzeum ma służyć dzieciom, a dzieci nie satysfakcjonuje wyłącznie muzealna gablota, czy najpiękniej nawet ułożone przedmioty, których nie można dotykać. Zatem — obok stałej ekspozycji — przewidziano pewną ilość eksponatów do zabawy, tak by zabawka nie traciła swojej elementarnej funkcji.

Tego rzeczywiście jeszcze nie było w polskich muzeach. Ludzie biegli w temacie twierdzą, że to wręcz niemożliwe; bo mają się cokolwiek z muzealnym statutem, a poza tym — dzieci migiem rozprawią się z eksponatami. Święta prawda, tylko że zabawka ludowa to nie japoński Kaczor Donald na tranzystorach, a zakres napraw nie wykracza poza młotek, gwoździe, kawałek drutu, dwie w miarę sprawne ręce i trochę wyobraźni. Na dobrą sprawę napraw mogą dokonywać same dzieci, a gdy im jeszcze pan Rapiak, który jest niemal instytucją w rabczańskim muzeum, zechce udzielić wskazówek, to można nie obawiać się o losy eksponatów. Tym bardziej że ich zasoby można uzupełniać, bo w paru regionach Polski południowej istnieje jeszcze kilka żywotnych wciąż ośrodków zabawkarskich.

A co do nowych w naszych warunkach funkcji eksponatu muzealnego — to nie przesadzajmy z nowością. Odpowiedni departament w Ministerstwie Kultury i Sztuki nie takie wstrząsy i nie takie nowości przeżywał, a stosunek do doręcznych propozycji przedkładał przez muzea, wskazując, iż dogmatyzm nie jest tam główną i jedyną formą myślenia o sprawach muzealnych.

Jest więc w Rabce projekt znakomity i realny. Jest część zbiorów. Rabczańskie muzeum gromadzi je od dawna, a uzupełnia konkursami organizowanymi z myślą o nowym oddziale. Pierwszy konkurs zabawki ludowej

zorganizowała dyr. MARYNA BUJAKOWA w 1966 roku, następny odbył się w roku 1979 i przyniósł nadspodziewanie bogaty plon. Był jeden tylko mankament: brak miejsca, gdzie można by było upchnąć wszystko, co Muzeum im. Orkana chciało, i co warto było zakupić.

Bo właściwie o Muzeum Polskiej Zabawki Ludowej w Rabce można opo-

wiedzieć wszystko, nie można go tylko zobaczyć. Gdy u progu 1977 roku pisałam w „Dzienniku Polskim” o planach związanych z Muzeum Polskiej Zabawki Ludowej — wszystko zdawało się być o krok od najszybszych rozwiązań: szyszkował się remont kapitalny willi „Anioł” (dub jednej z dwóch innych alternatywnie na ten cel przewidywanych), było zaangażowanie wojewódzkiego konserwatora zabytków, władz rabczańskich i innych czynników, których pomoc była niezbędna — wszystko to zdawało się wskazywać, iż pomysł, który dojrzał jak szlachetne wino, nie skwaśnieje z braku pielęgnacji.

Potem o muzeum zabawki mówiło się coraz mniej, aż wreszcie wybuchł Międzynarodowy Rok Dziecka; zwrócono uwagę, że uzdrowisko dziecięce dziwnie

mało ma akcentów adresowanych do tych kuracjuszy, przypomniano, że leczenie to rozległa działalność, w której obok medycyny funkcjonuje wiele pozamedycznych elementów — i w rezultacie pojawił się kompleksowy projekt zagospodarowania uzdrowiska dziecięcego. Kompleksowy — a więc ważniejszy od jednostkowego tematu, jakim jest muzeum.

Nie chcę tu stwierdzać, że kompleksowe programy są znakomitym wynalazkiem już choćby tylko z racji swojej długoterminowości. Trudno byłoby także negować celowość kompleksowego programu zagospodarowania rabczańskiego uzdrowiska. Niepokoje jednak sytuacja, gdy radość z nowego programu usuwa w cień sprawy nie załatwione od lat. Muzeum Polskiej Zabawki Ludowej w Rabce — sprawa niebagatelna dla polskiej kultury i jak wszystkie naprawdę ważne sprawy kultury bezpośrednio do człowieka adresowana, tyle zyskała na obchodach Międzynarodowego Roku Dziecka, że znalazło się w kompleksowym programie na pozycji bliżej nie określonej w czasie: przy okazji remontów starych willi. Kiedyś...

Maryna Bujakowa, dyrektorka Muzeum im. Władysława Orkana w Rabce, jeszcze wierzy w Muzeum Polskiej Zabawki Ludowej, choć temat ten raczej omija w rozmowach. Wierzy, jeśli angażuje czas i energię w organizowanie konkursów, takich jak ubiegłoroczny, podtrzymuje kontakty z muzeami mającymi zabawki ludowe w swoich zbiorach.

Wszyscy świeccy patroni byłego Roku Dziecka, modlą się do Was o długie lata wiary Maryny Bujakowej. Albo o cud, który inercję, starszą niż to województwo, przemieni w działanie: konkretne i niekoniecznie kompleksowe. Od 25 lat idzie głównie o budynek dla Muzeum Polskiej Zabawki Ludowej. Kto zgłosi się po odbiór gratulacji z okazji tego ćwierćwiecza?

Jolanta Anteka

Gratulacje szukają adresata



Maria K. czuje się oszukana i okrutnie wykiwana przez los. I cóż z tego, że prawdopodobnie w najbliższym czasie otrzyma rozwód, skoro ani rozwiązania małżeństwa nie chciała, ani myślała, że kiedyś dojdzie do tak przykłej sytuacji. Jej mąż, Andrzej K., nie pofatygował się nawet na wizytę w sądowym budynku...

Początek znajomości pani i pana K. był trudny, jak trudne są związki ludzi, których uczucia nie są akceptowane przez otoczenie, a co więcej — budzą zdecydowaną dezaprobatę. Powiedzmy od razu, że Andrzej K. był mężczyzną żonatym, ojcem dwojga dzieci — natomiast Maria, wówczas jeszcze C., osobą wolną. Mówiono nawet, że uisłnie „poluje” na męża, lecz jak do tej pory owe „polowania” nie przynosiły spodziewanych i oczekiwanych przez panią Marię rezultatów.

Rzecz cała działa się w małym miasteczku i chociaż Andrzej K. usiłował konspiracyjnie chronić swoją pozamałżeńską znajomość, jego wysiłki nie na wiele się zdały. Szybko, bardzo szybko, zaczęto plotkować o małomiasteczkowym romansie, i jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, najbardziej oskarżano Marię C. Jeżeli już tak bardzo chce się wydać — mówiono powszechnie — to powinna szukać sobie kawalerka albo i wdowca, a nie odbierać żonie męża i ojca dzieciom. Być w zgodzie z faktami dodajmy jednak, że o jednoznacznych życiowych decyzjach ani pani C., ani pan K. nie mówili — ten ostatni nawet o nich jeszcze nie myślał.

Traktował tę swoją miłośćkę przelotnie i zupełnie niezobowiązująco. Żona zabezpieczała mu stabilizację, troszczyła się o dzieci i dom — natomiast Maria C. była sympatycznym przerywnikiem prozy dnia codziennego. Panią, do której przychodziło się na kilka godzin, a najwyżej godzin kilkanaście. Andrzej K. sądził, że po pewnym okresie czasu znajomość zakończy się tak naturalnie, jak naturalnie się zaczęła i wszystko będzie w porządku...

Ślubna Andrzeja K. wiedziała o nowym związku męża i z istniejącym stanem rzeczy pogodziła się bez szemrania i wymówek. Nie było więc awantur, gorszących scen, nie było grożenia rozwodem. Zofia K. postanowiła cały problem rozwiązać przy pomocy kobiecej taktyki. Przypuszczała więc, że Andrzejek wcześniej czy później, ale na pewno, Marię się znudzi i ją definitywnie opuści. Nie należy więc teraz wszystkiego stawiać na ostrzu noża, palić mostów, podejmować nieodwracalnych decyzji. Bo tak czy owak, ale w ostatecznym rozrachunku to właśnie ona, Zofia K., odniesie ostateczne zwycięstwo. A poza tym jest przecież dwoje dzieci — więc ich interes wymaga szczególnej cierpliwości.

Rozmowa z Zofią K. było może i słusze — niestety bohaterowie tej sprawy nie przewidzieli tego, że życie płata czasem zupełnie niespodziewane figle, wobec których wszystkie rachuby, wszystkie plany, nadzieje i zamierzenia tracą swoją aktualność. Figla więc spłatała życie i Zofii K., a także — chociaż tylko częściowo — jej mężowi, czyli Andrzejowi K. Początkowo z rozwoju sytuacji tylko Maria C. była zadowolona.

Powiedziała, że jest w ciąży. Normalnie i zwyczajnie. Należało się tego wcześniej czy później spodziewać, gdyż „nielegalny” charakter związku, przypadkowość spotkań, pokonywanie rozlicznych trudności zwiększały ryzyko „wpadki”. Kiedy ona już zaistniała, trzeba się zastanowić co z faktem spodziewanych urodzin dziecka zrobić należy.

Propozycja Andrzeja K. była nadzwyczaj prosta. Oto Maria C. pójdzie do lekarza i kłopot będą mieli oboje z głowy. W końcu za niewielkie nawet pieniądze...

Po raz pierwszy Maria C. powiedziała: nie. Dziecko urodzi się bez względu na to, co teraz jego ojciec postanowi. Jest nie najmłodszą już kobietą i jeżeli tak los chce, że nie może mieć normalnej rodziny, normalnego męża, to niech przynajmniej ma coś dla siebie. Dziecko po prostu.

Andrzej K. stanął wobec dylematu trudnego do rozwiązania. Na rozwód z żoną specjalnej ochoty nie miał — Marii opuszczać także nie chciał. Do zdecydowanej ofensywy przystąpiła teraz jednak Maria C. Albo Andrzej zwiąże się z nią definitywnie i ostatecznie, albo sobie pójdzie. Będzie płacił alimenty i tyle.

Odtworzenie atmosfery tamtych rozmów sprzed 7 lat jest prawie nadzwyczaj trudna i dramatyczna sprawa nie-możliwa. Postawa Marii C. przekonała w końcu Andrzeja K., gdyż i ostatecznie zdecydował się na zawiazanie nowej rodziny. Zofia K. powiedziała, że

ją opuszcza i najlepiej będzie, gdy dojdą do rozwodowego porozumienia. Załatwią wszystko w sądzie bezkolizyjnie, bez wywekowania małżeńskich brudów na wierzch, bez eskalacji wzajemnych pretensji i nienawiści. Łączą ich dzieci, więc najlepiej będzie gdy problem zostanie załatwiony całkowicie polubownie.

Zofia K. pozostawiona bez żadnych złudzeń doszła do rozsądnego wniosku, że zaistniałej sytuacji zmienić się już nie da i należy sobie przynajmniej oszczędzić zbędnych emocji tudzież szarpania nerwów. Mężowi wstrętem nie robiła żadnych, spakowała jego rzeczy, a potem w sądzie także twierdziła, że

nimi, nie próbował podtrzymywać rodzinnych związków. Cóż, miał nową żonę, nowe dziecko.

Zdarzyło się jednak, że Zofia K. zachorowała i to poważnie. Konieczne stało się leczenie szpitalne. Dwoje stosunkowo małych dzieci nie mogło teraz samodzielnie troszczyć się o swój los. Ktoś musiał się nimi zająć, a ponieważ Zofia K. nie posiadała bliskiej rodziny, ów obowiązek spadł na Andrzeja K.

Dzieci zabrał do swojego nowego domu bez żadnego entuzjazmu. Także Maria K. nie kryła wcale, że ta nowa sytuacja jest jej zupełnie nie na rękę. W ciasnym mieszkaniu zrobiło się jeszcze ciśniej, rosło napięcie. Państwo K. pocieszało się jednak, że ten stan jest jedynie przejściowy, należy go przećkać, jako że przecież Zofia K. w końcu wyjdzie ze szpitala i odbierze swoje dzieci. Nie będzie kłopotów, dodatkowych obowiązków.

Zofia K. rzeczywiście ze szpitala

Janusz Hańderek

ROZWÓD



Fot.: PAWEŁ GRAWICZ

w małżeństwie istniała niezgodność charakterów, aspiracji życiowych, że byli po prostu niedobranii. Orzeczone prawne rozwiązanie małżeństwa, Andrzej K. nie handryczył się o wysokości alimentów, zajęty przygotowaniem do swojego drugiego ślubu i nowego ojcostwa.

Ślub odbył się rzeczywiście skromny i cichy, jednak dla pani Marii radośny. Przyjęła nazwisko męża, a w 3 miesiące później w miejskim szpitalu pojawiła syna.

Andrzej K., chociaż deklarował wcześniej pełne zainteresowanie się losem pozostawionych przy Zofii K. dzieci — teraz, przy boku Marii, zupełnie o nich zapomniał. Każdego miesiąca z poborów potrącał mu alimenty w wysokości określonej przez sąd i to — w przekonaniu pana Andrzeja — było wystarczającym dowodem, iż syna i córkę córki nie pozostawił swojemu losowi. Nie spotykał się jednak z

wysłą, aby szybko do niego ponownie wrócił. Jednoznaczna i okrutna była lekarska diagnoza. Pani K. cierpiała na raka wątroby i szansę przeżycia — choroby były żadne. Ostateczny finał był jedynie kwestią czasu.

Wszystko rozstrzygnęło się w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Należało zakrzętnąć się koło pogrzebu. Wyprawił go Andrzej K. Dzieci na stałe zamieszkały wspólnie ze swoim ojcem i nieprzyjną im jego żonę.

Fakt, Maria K. nie szyszanowała ani Pawła, ani Moniki, traktowała ich jednak jak zło konieczne. Bez odrobiny serca czulego zainteresowania. Andrzej K., znużony zaistniałą sytuacją, coraz częściej wymykał się z domu, zaczął zaglądać do kieliszka, a gdy miał już wszystkiego dość, swoje złości wyładowywał na dzieciach. Bliżej solidnie, często za byle drobniar. Nie, nie miały one szczęśliwego dzieciństwa...

*

Te wakacje — jak to się potem okazało — były brzemienne w skutki.

Do Polski zjechał bowiem krewny Marii K. i część swojego urlopu spędził w M. Przyjmowano go gościnnie i serdecznie. W końcu padła ta „interesująca” propozycja.

Maria K. poprosiła krewniaka, aby zaprosił do USA Andrzeja. Jadą tam inni, dlaczego on ma nie pojechać. Po powrocie coś tam przywiezie z sobą, poprawią się im warunki, bardziej pewnie staną na nogi. Utrzymywane teraz muszą troje dzieci, więc się im nie przelewa.

Krewniak zaproszenie obiecał i słowa dotrzymał. Z Chicago nadeszły stosowne dokumenty, potwierdzone przez polski konsulat i odpowiednie amerykańskie władze. Andrzej K. mógł przystąpić do załatwiania formalności.

Otrzymał paszport i wizę. Kupił lotniczy bilet i wyprawił się za Ocean. Na kilka miesięcy jedynie...

Tych kilka miesięcy zmieniło się w miesięcy kilkanaście. Andrzej K. ślał do żony listy, że jako tako się urządza, że chce w pełni wykorzystać swoją szansę i wróci do kraju dopiero wówczas gdy uzna, że ten powrót w pełni będzie się mu opłacał. Maria K. nie piła męża do szybkiego pakowania rzeczy, gdyż systematycznie otrzymywała pewną sumę wymienialnej waluty i była z tego raczej zadowolona. Także dzieci Andrzeja mniej ją denerwowały i wydawało się, że Maria ostatecznie zaakceptowała obecność Pawła i Moniki. Sielanka trwała jednak tylko do chwili, gdy z Chicago nadeszła zupełnie niespodziewana i szokująca; w treści korespondencji.

Pisał krewniak pani Marii. Bez ogródek stwierdzał, że Andrzej K. nadużył jego zaufania, że za Oceanem sprawuje się tak jak sprawować się w naszym wypadku nie powinien. Poznał jakąś panią i związał się z nią całkowicie. Początkowo to on, krewniak, na wszystko wyrozumiałe przykładał oczy, gdyż w Ameryce nauczył się inaczej, niż w starym kraju, oceniać ludzkie postępy. Sądził więc, że Andrzej pofigluje sobie, jak to mężczyznom się zdarza, a gdy przyjdzie pora powrotu — o wszystkim zapomni i przyzwolnie zwiąże się ponownie z prawowitą żoną.

Więc przymykał oczy, ale obecnie przymykać już nie może, bo rozwój sytuacji zupełnie go był zaskoczył. Oto bowiem Andrzej K. rzucił gościnny dom krewniaka Marii i wyprawił się do swojej nowej lubej. Podobno podjął starania o uzyskanie prawa stałego pobytu w Stanach, a gdy go otrzyma, Maria niech nie liczy na powrót męża. On, krewniak, zrobił co tylko mógł aby wytłumaczyć Andrzejowi, że postępuje bardzo brzydko, lecz żadne argumenty doń nie trafiają. Nawet ten przypominający, że w kraju pozostała trojka jego dzieci...

Maria K. przez kilka dni płakała do poduszki aby w końcu wysłać do Stanów błagalny list. Prosiła na wszystko aby Andrzej jej nie rzucał, nie zostawiał samej z dziećmi. Jak ona sobie poradzi sama, co ma robić, gdzie szukać pomocy?

Na odpowiedź nie czekała długo. Andrzej K. pisał, że skoro wie o wszystkim, to nie ma sensu prawdy owiać w bawelne. Tak, poznał kobietę, która ją bardzo i zamierza się na stałe z nią związać. Niech Maria tak nie rozpaczaj i nie wypominaj mu okrutnego postępowania, gdyż to nie ma skrupułów, pilce do rozwodu z Zofią K. Więc dlaćgęć teraz nazywa rzucając żony straszną rzeczą?

A dzieci? To żaden problem. Te z pierwszego małżeństwa może oddać do Domu Dziecka, natomiast to ich wspólnie zostanie przy niej. Na te pierwsze, jak i na to drugie będzie przysładnie płacił w amerykańskich dolarach.

Rozwodowy pozew został złożony w sądzie Rozprawa odbędzie się w najbliższym czasie. Jak utrzymują to znawcy przedmiotu — sprawa Andrzeja i Marii K. nie należy do całkiem nietypowych. Okazuje się bowiem, że jednym z efektów „turytyki” za Ocean bywają poważne komplikacje rodzinne. Rozwody dzieci pozostawione samopas. Nie zawsze jest tak, że wszystko kończy się na odwiedzeniu krewnych i przywiezieniu do kraju kilku czy kilkunastu zielonych banknotów. Bywają także finały przykre i stojące w zdecydowanej kolizji z interesem społecznym.

P.S. Ze względu na intymny charakter sprawy niektóre szczegóły zostały przez autora zmienione.

Do chwili jego przejazdu dwa pierwsze miejsca okupowali Sponar i Brychel, którzy znajdowali się wtedy w czołowie światowej. „Na liczniku” było chyba z 80 km na godzinę. Trasa z Banskiej Bystrzycy była szybka i bardzo niebezpieczna. Zaciął zęby. Mimo wielkiego bólu nóg, które ledwie już wytrzymywały potężne muldy, padaki i hopy, w piękelnym zszusie dotarł do mety. Sensacją Nikomu nie znany Polak zdobywa międzynarodowe mistrzostwo w najtrudniejszej konkurencji — w biegu zjazdowym.

Tak rozpoczęły w roku 1946 sezon przyniósł również dalsze sukcesy małżeńskiemu duetowi Marynie i Andrzejowi. On, jak w jakimś transie, wygrywał prawie wszystko i wszędzie, gdzie się pojawiał, a w slalomie gigantycznym zdobył mistrzostwo Polski. Żona nie pozostawała w tyle. Zdobyła tytuł mistrzyni Polski w slalomie i kombinacji alpejskiej. Ileż to było radości i szczęścia.

(...) Do muzyki miał zacięcie od dziecka. To po dzianku Gąsienicy Krzysiu, sławnym muzykancie Podhala i wielkim przyjacielu Przerwy-Tetmajera. Przez 10 lat uczył się gry na skrzypcach, ale gdy przypadkowo usłyszał go, śpiewającego w domu, profesor Wieruchowski z Krakowa, wyrok był szybki: „Jędrę, ty lepiej rzuć te skrzypce i zabierz się do śpiewania. Musisz śpiewać, to twoja przyszłość”. No i jechał właśnie do Katowic, aby tam rozpocząć studia w Wyższej Szkole Muzycznej.

Zaczęły się ciężkie studia i stałe kursowanie pociągami pomiędzy Zakopanem i Katowicami. Ten z krwi i kości zjazdowy Igrzyska Olimpijskie w St. Moritz siedział tylko z gazet. A przecież mógł tam być. Czasami przeklinał siebie za tę decyzję. Białe szlaki, góry, szum wiatru, pęd desek i wspomnienia były czasem tak silne, że ćwiczenia solfeżu wydawały mu się wstrętne i nudne jak flaki z olejem.

Było to w roku 1949. Podczas lekcji u jednego z profesorów, nagle strzeliła mu do głowy szalona myśl startu w Mistrzostwach Polski, które akurat odbywały się w Szczyrku. Opętany tą myślą, nawet nie wie, jak dotrwał do końca lekcji. Porwał walizkę i pognął do pociągu.

Na starcie nie brakowało nikogo z najlepszych: Ciąptak, Wawrytko, Pionka i cała plejada innych. Wiedzieli przecież, że nie trenował. Witali go serdecznie, ale czy ktoś poważnie traktował jego start? „Ważaj Jędrus, bez treningu nie kozakuj, bo się uszkodzisz”. Ale co tam; był w transie. Tyczki slalomowe, starter, numer na piersiach. Doce, co za frajda. Czy chciał wygrać? Zupelnie go to nie obchodziło. Na nartach czuł, że żyje. Tańczył między tyczkami slalomu jak baletnica, rozpięła go radość, upajała jazdą, cieszył się kaczym skrzętem jak dziecko, a że wyszła z tego poezja jazdy i tytuł mistrza Polski, to już inna sprawa — nieprzećwiczony talent.

Ze względu na gardło — śpiew trudno pogodzić z jazdą na nartach — o swoich wyczynach nie wspominał w uczelni. Na wszelki wypadek zaraz po konkurencji wrócił do Katowic, aby pojechać do Szczyrku znowu za dwa dni, na bieg zjazdowy. Tym razem wyszedł „tylko” tytuł wicemistrzowski, ale i to wystarczyło, aby Andrzeja Bachledę okrzyknąć bohaterem mistrzostw. Zresztą do dziś mówi się o tym w Zakopanem — „przyszedł pan w kapeluszu i grubym szalu, powiesił to na kołku, przypiął deski i wkościł wszystkim, jak chciał”.

Kariera artystyczna rodziła się ciężko. Pierwszy poważny koncert w Filharmonii katowickiej właściwie wypadł przypadkowo. Po prostu zachorował Bogdan Paprocki i „Sonety Krymskie” Moniuszki śpiewał Bachleda. Jak sam mówił, miał w tym występie szaloną „cykorię”, zupełnie taką samą, jak na wielkich zawodach narciarskich.

To pierwsze zastępstwo ciążyło na nim przez parę lat. Gdzie jakiś tenor zachorował, wzywano Bachledę. „To wielki talent, w ciągu dwóch godzin potrafi się nauczyć najtrudniejszych partii” — pisała o nim prasa.

W roku 1950 kończy studia w Katowicach i rozpoczyna pracę w Filharmonii krakowskiej. Ma wiele koncertów, jednak kariera artystyczna rozczarowuje go. Zadziorna góralska natura. Chce być wszędzie pierwszy. Niestety, szczebli kariery artystycznej nie przeszkadza się tak łatwo, jak munda na trasach zjazdowych. Znowu karkołomna decyzja: „Jędrus, koniec ze śpiewaniem, wracamy do Zakopanego”.

Był to rok 1950. W domu najstarszy synek, też Jędrę, liczy już dziewięć, córeczka Hania siedem, a najmłodszy Jasiu pięć lat.

Mały Jędrę zdradzał, również jak ojciec, wielkie zdolności do nart i nagle przed „starym” Jędrkiem stanęło nieoczekiwanie nowe zadanie: „Twój syn będzie twoim narciarskim następcą”.

Sprawa była przesądzona, Andrzej wraca na szlaki narciarskie i zostaje nawet trenerem „Startu”, gdzie między innymi opiekuje się swoim synkiem.

„ego powrót zawodniczy przynosi niespodziewane dobre efekty. Stale zajmuje miejsca w pierwszej piątce i zostaje włączony do kadry narodowej. To mu jednak nie daje zadowolenia, nie jest już pierwszy i jak żartobliwie mówi się, należy do „klubu starców”.

A może wrócić do śpiewu?

Sam nie wie, jak to się właściwie stało, że po treningach, wieczorami, coraz częściej zasiadał do fortepianu i śpiewał. W jednej z takich chwil, zjawiał się u niego serdeczny przyjaciel, sławny dyrygent, Witold Rowicki. „Stuchaj Jędrę, ucz się jazdy na nartach, a ja ci pomogę w dalszym rozwoju kariery artystycznej”.

Umowa stanęła. Jędrę znowu zaczął jeździć pociągami, ale już tym razem do Warszawy.

Był to marzec 1958 r. W Szczyrku Mistrzostwa Polski, a w Warszawie, w Filharmonii Narodowej — koncert. Co wybrać? Na wszelki wypadek zabrał wszystko, również sprzęt sportowy i pojechał do Warszawy. Obliczył tak, że jak natychmiast po koncercie wsiądzie do taksówki i pojedzie na dworzec, to zdąży jeszcze do Szczyrku na slalom.

Koncert w Filharmonii Narodowej pod batutą Stanisława Wiślickiego. Soliści: skrzypek z USA.

Zbliża się przedostatnia bramka. Moment wahania — zaczyna się sztytem narty o tyczkę, przelatując przez głowę i izey — sponiew.erało go straszliwie. Koniec, psia krewno, koniec.

Stał oparty na kijach i ciężko dyszał. Z desperackiej zadumy wytrącił go dopiero głos spikera: — Uwaga, jako „vorläufer” do drugiego przejazdu mężczyzna, wystartuje nadzieja naszego narciarstwa zjazdowego, 11-letni Andrzej Bachleda Curus.

Mały Jędrę jedzie po slalomie w porywającym

Marian Maizenaauer

NIESKONCZONA HISTORIA RODU BACHLEDÓW



Fot. WŁADYSŁAW WERNER

Roman Totenberg oraz tenor Andrzej Bachleda Curus. Gdy stanął na estradzie, w świetle jupiterów, zrozumiał, że waga się losy jego kariery artystycznej. Ogarnęła go szalona trema. Miał szczęście, popatrzył pod nogi, stał przecież na deskach.

Śpiewał „Harnasi” Karola Szymanowskiego. Poszło znakomicie, ale czy ta szalona głowa miała czas myśleć o odniesionym sukcesie? Na frak zdążył zarzucić płaszcz. W locie odebrał mnóstwo gratulacji i już gwał jak szalony do Szczyrku.

Slalom liczył ponad 70 bramek i był diabelnie trudny. Ciąptak potknął się na jednej z bramek. „Simek” Zarycki, po wzięciu wertikalu, wyleciał z trasy jak z procy. Andrzejowi szło znakomicie. Najtrudniejsze odcinki trasy przeleciał bezbłędnie. Gdy dzieliło go do mety zaledwie 20 metrów, miał najszybszy czas i ogromną szansę zdobycia mistrzostwa Polski. Straszliwi bólały go tylko nogi.

stylu, aż wzdłuż stoku biegnie grzmot oklasków. Już jest na dole. Ojciec ściska syna. Oczy mu się zaskrzyliły ze wzruszenia.

— Kochany mój syneczku — wykrztusił z zaciśniętego gardła. W tym momencie wiedział, że to definitywny kres jego kariery sportowej. Można już zrezygnować, bo nazwisko Bachledów nie zginie ze stoków narciarskich.

(z książki „Bohaterowie śnieżnych tras”)

Nowosądecki Magazyn Ilustrowany „DUNAJEC” — jednodziówka KW PZPR w Nowym Sączu. Zredagował zespół: Krzysztof Dobusz, Mieczysław Matras, Roman Moranda, Adam Ogorzałek, Marian Wasilewski. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. Narutowicza 6, II piętro, telefon: 203-51. Drukowano w Prasowych Zakładach Graficznych w Krakowie. 11-11

Ten przekorny Górszczyk...

Najbardziej łagodną piosenkę Andrzeja Wydrukowały „Szpilki”. Teksty ostre i odważne idą w kabarecie „Lach”, ku uciesze nowosądeckiej publiczności. Dostał za nie Górszczyk sporo nagród...

Dziwny to człowiek. W czasie studiów uniwersyteckich zajmował się wyczynowo sportem. Kiedy podjął pracę zawodową, psikusy jeno przychodziły mu do głowy. Pomyśleliśmy, że warto dać mu ostatnią stronę „Dunajca” w ajencie, bo humor wciąż jest towarem deficytowym.

Nasz agent wyciął nam wszakże numer nie-lichy: zamiast zjadliwej przynosił kawałek czegoś lirycznego, fragment rozważań historycznych i szkic scenariusza imprezy plenero-wej.

Na bezrybiu i rak ryba! Drukujemy, co mamy. W przyszłości będziemy u Górszczyka zamawiać artykuły pryncypialne, tzw. „wstępniaki”. Wtedy na pewno pokaże pazur satyryka. Z przewrotnymi agentami trzeba umieć postępować.

A oto Górszczykowa szuflada, otwarta nie-zybt szczerze dla „Dunajca”.

BESKIDY

Białe jabłonie nad Dunajcem
I bruzdy pól na górskich stokach,
Domy, zielone uplecione,
Stońce, co kryje się w obłokach,

Zielono tutaj, kolorowo,
Czasem jarmarki, czasem spokój,
Tylko ten Poprad rozpędzony,
Tylko ci ludzie z ogniem w oku.

I te uparte chłopskie karki,
I te sękaty chłopskie ręce
Schylone nad tą ziemią twardą,
Żeby rodzica szczerzej, więcej,

By ciężkie było brzemień sadów,
Kosz urodzaju pełen po brzegi,
Bysmy spokojnie pościeli kłatki,
Gdy ozimna pokryta śniegiem,

Góry i lasy. Czyste niebo.
Oddech głęboki. I znów praca.
W B skudach biją nasze serca
Zaws e będziemy i tak wracać

Złośliwi twierdzą, że poematu „Besкиды” w ogóle nie ma, ale to nieprawda. Od kilku lat, odkąd wróciłem do mojego rodzinnego miasta — piszę ten poemat, który rozbudowuje się coraz bardziej, bo coraz nowe rzeczy odkrywam, coraz wspanialsze przeżycia ofiarowuje mi ta ziemia, którą — zdawało się — znam na pamięć od Tatry po Rożnów. Cieszę się. Znow mieszkam w stolicy, bo przecież

hipoteza, iż pierwszą stolicą Polski był Nowy Sącz, znalazła potwierdzenie w faktach naukowych. Wskutek rozmaitych zakulisowych rozgrywek miano stolicę kraju nosiły później takie miasta, jak Gniezno, Kraków czy Warszawa, ale Nowy Sącz był stolicą pierwszą, a więc do dziś jedyną — co tu ukrywać — legalną.

Wyniki badań historycznych, etnograficznych i językoznawczych nie są dla wielu sądeczan zaskoczeniem, gdyż tej wiadomości należało się spodziewać od dawna. Cięż niepowinno miała zmasać analiza laserowa pewnych dokumentów znalezionych w archiwum miejskim. I zmasała!

Pominiemy tu czysto naukowe rozważania badaczy — ukażemy tylko w skrócie tok ich rozumowania: jak wiadomo, mieszkańcy Nowego Sącza i okolic — to Lachy. Skąd się wzięła ta nazwa? Czy pamiętacie legendę o założeniu trzech sąsiadujących państw przez trzech braci: Lecha, Czecha i Rusę? Okazało się, że pierwszym z nich nie był żaden Lech, lecz Lach i tylko pożałowania godna pomyłka średniowiecznego skryby spowodowała, że Lach jako Lech wszedł do historii. Każde dziecko wie, że w wypadku samogłoski „a” zachodzi w naszym języku ewidentny przegłos w „e” (np. daj=dej, graj=grej, Lach=Lech). Stąd Lacha nazwano Lechem i kombinatory natychmiast wykorzystali ten lapsus, odbierając Nowemu Sączowi prawa stolicy państwa. Ale żyją — na szczęście — potomkowie legendarnego Lacha zwani Lachami. Tu właśnie, w Nowym Sączu, była siedziba państwa lachowskiego, które później — pod zmienioną nazwą — przyjęło do swej wspólnoty plemiona Polan, Wiślan, Mazowszan, etc.

Skomorny i pracowity Lach wreszcie doczeka się rehabilitacji. Badania naukowe zostały już definitywnie zakończone. Pora teraz na działania prawno-administracyjne. Pierwszy etap za nami: Nowy Sącz został na razie stolicą województwa. Sądźmy, że już niedługo otrzymamy pełną satysfakcję. Prawda historyczna jest tylko jedna i musi w końcu zatriumfować

✱

Moja praca zawodowa to ciągły kontakt z amatorskim ruchem artystycznym, szczególnie w naszym województwie bogatym. Cokolwiek by powiedzieć o widowiskach plenerowych robionych przez nas siłami głównie społecznymi — są one ukoronowaniem codziennej pracy zespołów amatorskich — tych, które przecież nie muszą, lecz chcą i chcą, działać, pokazywać swoją pracę. Widowiska estradowe. Plenerowe. Coś, co w mojej pracy szczególnie mnie pasjonuje...

Aby wyeliminować nudę, która — jak wiadomo — jest siostrą dobrobytu — postanowiliśmy z kabaretem „Lach” stworzyć wielkie ogólnowo-wojewódzkie widowisko plenerowe nad Dunajcem, wprowadzając kilka prostych tricków. I tak Widownia jest rozwieszona na linach łączących most kolejowy z drogowym. Dzieci dodatkowo

ubezpieczone żabkami. Aktorzy — ukryci w lodzi podwodnej nadpływają od strony Jeziora Rożnowskiego, z przeciwnego zaś kierunku — brzegiem Dunajca podąża kierdel baranów prze-malowanych na kolory folklorystyczne. Stado tworzy wielokombinacyjne układy choreografi-czne. Konnica na spadkach nadlatuje zrzucając petardy. Samoloty, z których wyskoczył oddział, zataczają łuk i lądują na makiecie lot-niska wybudowanej w ulicy Jagiellońskiej. W tym momencie z fal Dunajca wyskakują ławica specjalnie sprowadzonych pstrągów z wbudo-wanymi plejbekami (młeczenie ryb jest cechą powszechnie znaną i szanowaną). Ryby — wa-chlując skrzelami unoszą się na określonej wy-sokości i z plejbeków idzie pieśń „Rzeki Babi-lonu”, zainaugurująca przez jednego z naszych czołowych wiolonczelistów, który — przebrany za Janka Muzykanta — lata helikopterem wśród baranów. Rezygnujemy ze szlucznego ognia, in-stalując na terenie województwa nizinnych kil-kanascie wyrzutni rakietowych, które prowadzą ogień ciągły — paraboliczny tak celnie, że po-ciski wpadają do Dunajca; fontanny wody chłod-za widownię od spodu. Ogniska regionalne za-palamy w Tatrach. Wbrew opinii — widać je dobrze. W razie zachmurzenia stosujemy dmu-chawę, która rozgania chmury, tworząc komu-nikatywny korytarz na linii Nowy Sącz — Zako-pane. Żywe pochodnie, wieńce, zespoły folklory-tyczne opuszczają parowozy na środku mostu drogowego (po kolejowym nie wolno chodzić) i natychmiast mieszają się z baranami tworząc korowód o treściach ponadregionalnych. Orkie-stry dęte płyną Dunajcem pod prąd, holowane przez łodzie pienińskich górali ucharakteryzo-wanych na biedotę. Unoszący się na lotni reży-ser w stroju pletwonurka daje znak: ze szczytu Przehyby rusza desant kaskaderów — satyry-ków i kabareciarzy, nad całością czuwają ase-kuranci wybrani spośród alpinistów, urzędników i dziennikarzy. Zaczyna się widowisko...

Kiedy te i dalsze pomysły inscenizacyjne spot-kały się z ogólnym poparciem i zrozumieniem, zginęła jakaś śrubka — na tyle ważna, by nasze pomysły wzięły w łeb!

Ludzie kochani! Nie pozwólcie, by drobiazgi stały na przeszkodzie sprawom ważnym. Nie gubcie śrubek ze swoich wspaniałych maszyn!

✱

Często wyjeżdżam. Pomagam innym. Uczę się od mistrzów estrady i piora. Wracam tu z radością. Jestem znow u siebie.

Wszędzie można tracić szanse i przegrywać. Szukać celu i nie trafić nigdy w jedno.

Wszyscy wiemy, jak to miasto się nazywa. Takie miasto ma się w życiu tylko jedno.

I tyle — Górszczyk. W rewanżu ofiarowujemy mu kilka praktycznych pomysłów do ewentual-nego wykorzystania. Rysował HENRY BÜT-TNER, nasz złowik z NRD.

